

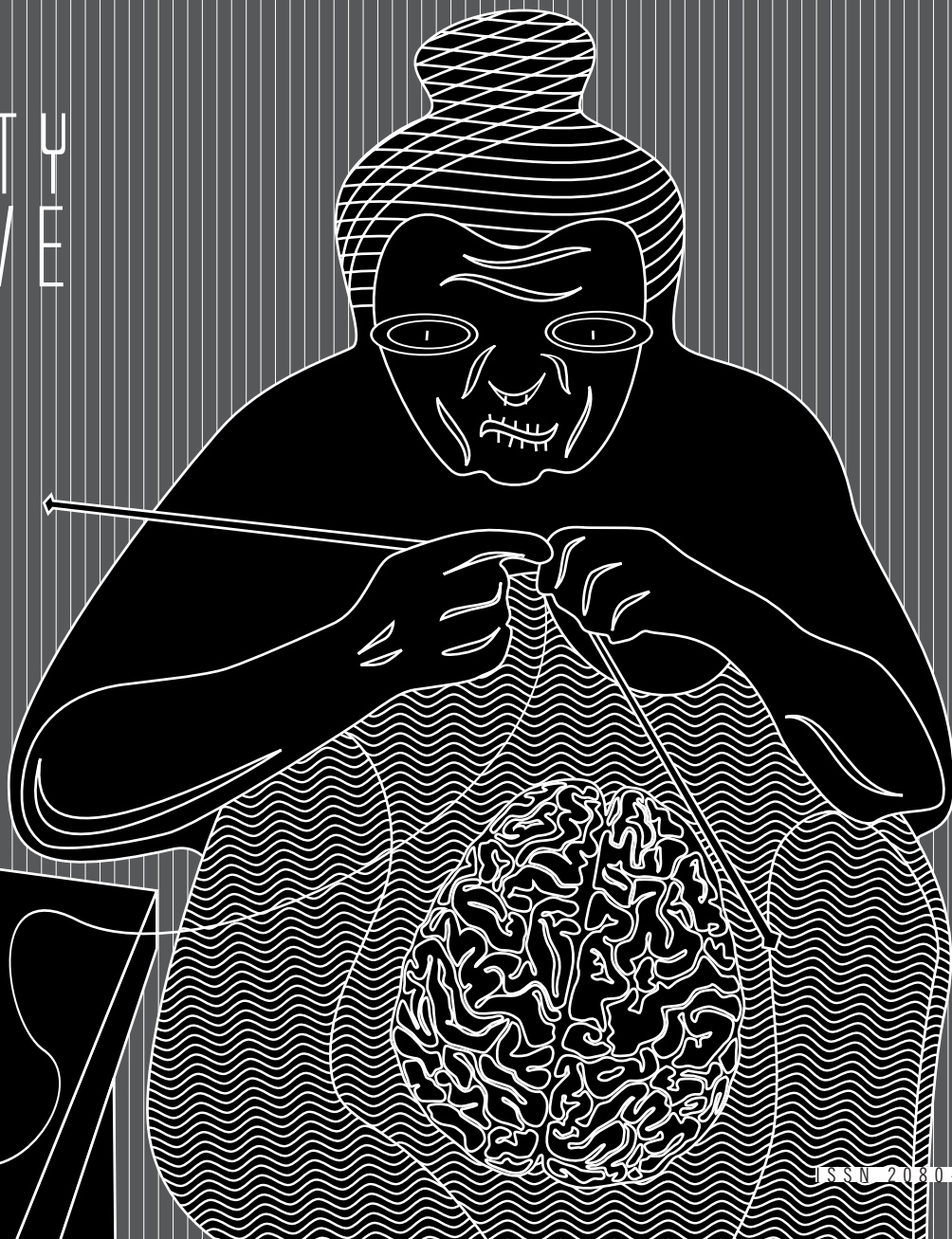
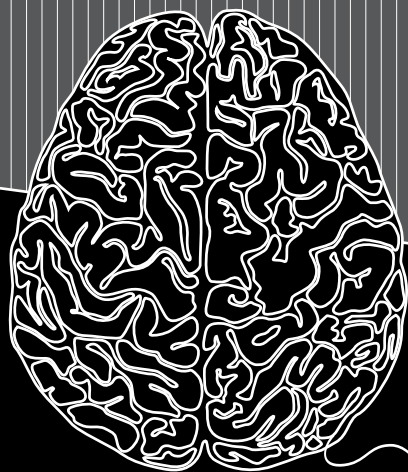
VariArt

pismo kulturalno-literackie 04/2010



www.wbp.olsztyn.pl

SPLOTY NERWOWE



ISSN 2080-1483



FOTOMONTER

Anna Rau VIII

Wigilia

W najciemniejszej części nocy, gdy już niedaleko do poranka, kiedy wszystkie istoty ludzkie przemieściły się ze swych kościołów z pasterkami, od swoich stołów z potrawami i swoich choinek z prezentami, wszystko zamiera. A gdy ustaje wszelki ruch na ulicy, a nastaje pewna Jedyna Nie-godzina roku, wtedy wokół choinki ustawionej w centrum Starego Miasta zbierają się wszystkie bezdomne i wolne zwierzęta Olsztyna. I zawsze się dzieje, że choćby jeszcze przed godziną chodniki były suche i czarne, a dachy lśniły od mdłego kapuśniaczku, w tej dzikiej nanogodzinie nagle na zastygłe miasto zaczynają padać olbrzymie białe płatki śniegu.

Zwierzęta zbierają się powoli. Suną wolno, spokojnie, jakby w wielkim zmęczeniu – idą wszystkie, bez względu na gatunek, wrażliwość wzrokową i miejsce na drabinie pokarmowej. Idą jak do arki Noego. Jak starzy patriarchowie, co za dużo wiedzą i śnią zbyt wiele – i zbyt dużo widzieli. Idą psy i koty, gołębie i szczury, kosmate pająki i karaluchy w chrzęszczących pancerzach, macając przed sobą długimi wąsami. Idą krocionogi i skorki, skaczą wróble i pliszki o szarych ogonkach, i jeże, i wiewiórki z parku miejskiego, i mrówki faraona, i gile, i sikorki, nietoperze i sowy, wrony i kawki z kominów, zagubione węże i chomiki, co wybrały wolność. Świnki morskie opuszczone w kwiecie życia i jaszczurki-odkrywczy Północy. Sarny, co skubią chryzantemy na miejskich cmentarzach, zające, wyrrywające chytlikiem marchewkę zza płotu, krety, stawiające swe kopce zawsze nie w tym miejscu trawnika.



Plac przy fontannie na Starym Mieście w Olsztynie.
Fot. Anna Rau

Zbrane zwierzęta patrzą przez chwilę na iglaste drzewo tkwiące na postumencie zamkniętej fontanny, Ktoś (Kto?) jeden raz duje jakby w fletnię Pana i zwierzęta zaczynają tańczyć. I tańczą, tańczą, chodząc wokół drzewa ustrojonego nie w pospolite żółte lampki, lecz wokół kolumny światła o kształcie roślinnym, wokół krzewu gorejącego bielą. A płatki padające z suchym szelestem są jedynym dźwiękiem tego korowodu.

Milcząco krążą powoli, szeregami, długo, uroczyście – gatunek przy gatunku, każdy w swoim pierścieniu. I w końcu stają. Milczą. W ostatnim rytuale podnoszą do góry dzioby i pyszczki, i ryjki, i wąsy, i żuwaczki – i równo przez minutę wpatrują się w niebo. Patrzą surowo, nieruchomo jak żołnierz na warcie. Mimo chmur zawsze widzą – ta nostalgia, ta zazdrość, ta wielka nadzieja! – ogromną, pełną chwały gwiazdę ludzkiego Bożego Narodzenia. Patrzą. Tak długo już czekają na Mesjasza.

Ktoś „mówi” – „Obyśmy się w przyszłym roku znów tak samo spotkali” – i odchodzą w mrok. Spośród owadów nigdy ci sami nie wracają.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: SOC; info@sphereoncord.com

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Miasta Olsztyn.



- 02 Fotomonter VIII
- 04 Wywiad z Tomaszem Venclovą
- 06 Poezja → Tomas Venclova
- 07 Wywiad z Aliną Kuzborską
- 08 Poezja → Jehuda Amichaj
- 10 Proza → Katarzyna Enerlich
- 12 Poezja → Selim Chazbijewicz
- 14 Proza → Filip Onichimowski
- 15 Poezja → Ewelina Zdancewicz
- 16 Galeria VariArt-u → Mirosław Smerek
- 18 Jak Emilia baśnie zbierała
- 19 Stowarzyszenie „Mała Rosja”
- 20 Proza → Roman Maciejewski-Varga
- 22 Ankieteria
- 24 Festiwal Teatralny DEMOLUDY
- 25 Teatralny Spichlerz
- 26 *Essential killing* Jerzego Skolimowskiego
- 26 Dyskusyjny Klub Filmowy „ZA”
- 28 Koncert Polski w filharmonii
- 29 Poezja → Lucyna Dobaczewska
- 30 Barbarzyństwo wielokulturowości

Co się kryje za słowem wielokulturowość? Wielość kultur, wielość słów, wielość języków. Kultura zwielokrotniona, pomnożona przez liczbę zwojów. Multikulti czy kult multi?

Odkrywamy, mnożymy, łączymy.

Wielość kultur i języków czasem uosabia jeden człowiek – Tomas Venclova, poeta litewski, który opowiada o swoich językowych i kulturowych inspiracjach. Jak się żyje na granicy języków, czy tłumaczenie to nowy twór, czy klon oryginału – o tym olsztyńska tłumaczka, Alina Kuzborska. My wielość języków sprowadzamy do wspólnego mianownika, prezentując poezję litewską w przekładzie Aliny Kuzborskiej i hebrajską w przekładzie Krzysztofa Dariusza Szatrawskiego.

Czy wielokulturowość w ogóle jest możliwa? – pyta przewrotnie Marek Jędrasik.

W Olsztynie tę wielość słyszeć i widać – w poezji Wschodu Selima Chazbijewicza, na czeskich i słowackich DEMOLUDACH, w działalności Stowarzyszenia „Mała Rosja”.

*Każde pokolenie ma swoje zabawki, tworzy własną piaskownicę kultury. „VariArt” krzyżuje pokolenia, twórczość starszych i młodszych – stąd w numerze: debiut poetycki Eweliny Zdancewicz z Klubu Literackiego Młodych w Olsztynie, wiersze Lucyny Dobaczewskiej, proza Filipa Onichimowskiego, Katarzyny Enerlich i Romana Maciejewskiego-Vargi, artyści plastycy Agnieszka i Jan Przelomcowie, Mirosław Smerek oraz świat widziany berlińskim okiem Pauliny Andrzejewski. Temat stereotypu Polaka podejmuje Kaja Wilengowska w recenzji filmu Jerzego Skolimowskiego *Essential killing*.*

Z akcentów polskich i rodzimych – olsztyński Teatralny Spichlerz, Dyskusyjny Klub Filmowy „ZA”, Koncert Polski w filharmonii i etnograficzne pasje Emilii Sukertowej-Biedrawiny.

A „VariArt” ogarnia...

Wielostronnej lektury

życzy Redakcja



Odyseusz spełniony

Tomas Venclova

z litewskim poetą
rozmawiała Ewa Zdrojkowska

Ewa Zdrojkowska: Urodził się Pan w Kłajpedzie, kolejne etapy życiorysu to: Kowno, Wilno, Moskwa, Kraków, miasta Ameryki Północnej, obecnie na zmianę z Berlinem. A zatem ciśnie się na usta pytanie – czy jest Pan wędrowcem ?

Tomas Venclova: Niewątpliwie tak. Nawet chyba trochę maniakialnym, bo zwiedziłem ogromną liczbę krajów. Mogę powiedzieć, że właśnie wróciłem parę dni temu do Berlina z Malty. Są tylko dwa kraje w Europie, w których jeszcze nie byłem: Cypr i Kosowo. Do Kosowa chyba trafię, bo to bardzo blisko Czarnogóry, a tam w lecie mieszkam. Postawiłem sobie w życiu zadanie – zwiedzę wszystko. Chcę zobaczyć jak najwięcej, żeby poczuć się takim gospodarzem na całą kulę ziemską. Chcę, aby nie było dla mnie miejsc nieznanymi i niezrozumiałymi. Interesuje mnie inność, architektura, kultura, a także historia.

EZ: Polscy czytelnicy mają okazję poznać Pańskie zapiski. Najnowsza Pańska książka nosi tytuł „Z dzienników podróży”.

TV: To są wyjątki z moich dzienników, które prowadzę od czterdziestu lat. Gdyby je wydrukować w całości, to z pewnością powstałoby dziesięć woluminów. Jeżeli jadę do Chin czy Ameryki Południowej, codziennie zapisuję, co mi się zdarza. Poszedłem do takiego a takiego miejsca, zobaczyłem to i tamto, zwiedziłem takie czy inne muzeum. Może to wydawać się monotonne, ale z drugiej strony przybliży czytelnikowi odległe miejsca. Trochę redagowałem te zapiski, bo w dziennikach są akapity zrozumiałe jedynie dla Litwina, a nie dla Polaka. Zatem wykreślałem je albo komentowałem. Dość dużo piszę o krajach europejskich, jednak w książce przedstawiam kraje pozaeuropejskie. Afryka Południowa na przykład, gdzie byłem jeszcze za czasów apartheidu. Tybet, Japonia, gdzie byłem dwukrotnie. Te kraje naprawdę różnią się od Europy i z tego powodu są tak ciekawe.

EZ: Różnią się, ale Pan pokazuje je poprzez swój horyzont kulturowy, poprzez Litwę.

TV: Zawsze staram się nawiązywać do Litwy, bo stamtąd pochodzę. Litwa mnie przecież zbudowała, zostałem przez nią wychowany. To kraj bardzo ciekawy, ze wspaniałą historią i oczywiście, kiedy trafiaam na inne kontynenty, to przychodzą mi do głowy różne porównania z Litwą albo różne nawiązania do Litwy. Na przykład w latach trzydziestych, gdy Litwa była niepodległa, w Cape Town był konsul litewski, ponieważ w Afryce Południowej znajdowało się ponad 50 tysięcy ludzi, pochodzących z Litwy. Częściowo etniczni Litwini, głównie jednak Żydzi z Litwy – na przykład rodzice laureatki literackiej Nagrody Nobla z 1991 roku, Nadine Gordimer. Korzystali oni z pomocy konsula, którym był brat mojego dziadka, zresztą dość znany w swoim czasie litewski pisarz. I o takich rzeczach w swojej książce też piszę. Albo gdy przyjeżdżam do jakiegoś

kraju i zwiedzam muzeum literackie, to interesuje mnie, co z tego pisarza zostało przetłumaczone na litewski. Jeżeli nic, to zastanawiam się, dlaczego – i może trzeba coś przetłumaczyć. Piszę o tym, bo to chyba nieuchronne, zwłaszcza dla człowieka pochodzącego z małego kraju. Podobno, czym mniejszy kraj, tym większy patriotyzm.

EZ: Książka jest poszukiwaniem Litwy w innych, dalekich krajach, czy też jakąś formą utrwalania kultury litewskiej, a także i polskiej, bo polskich śladów w niej nie brak?

TV: Tak, bo przecież będąc w Buenos Aires, nie można nie pisać o Gombrowiczu. Gombrowicz jest zresztą dość znany na Litwie i nawet szczeniemy się tym, że pochodził ze szlachty żmudzkiej, tzn. częściowo był Litwinem, tak samo zresztą jak Miłosz. Książka jest nie tyle poszukiwaniem Litwy, co odnajdywaniem Litwy w bardzo nieoczekiwanych miejscach. Jednocześnie jest to możliwość spojrzenia na Litwę z pewnego dystansu. Czasem to duży dystans – 10 tysięcy kilometrów albo więcej – i wtedy można dogłębniej zrozumieć dużo rzeczy, dotyczących także i samej Litwy.

EZ: Przywołuje Pan kościół pw. świętych Piotra i Pawła w Wilnie. Dzięki tym przywołaniom europejskim łatwiej nam te kraje nie tyle zrozumieć, co sobie wyobrazić.

TV: Właśnie. Mówiłem o tej podróży na Maltę. Tam są kościoły barokowe – i główny kościół pw. św. Jana Chrzyciela to jest prawie kopia wileńskiego świętego Piotra i Pawła, albo na odwrót. Z tym że kościół maltański jest większy i ocieka złotem, co niekoniecznie wychodzi mu na dobre. Kościół Piotra i Pawła w Wilnie, moim zdaniem, jest piękniejszy. Oba kościoły wybudowano w drugiej połowie XVII wieku. Tyle, że Zakon Maltański był chyba bogatszy od Wielkiego Księstwa i pozwolił sobie na niesamowity przepych.

EZ: A wrażenia z Malty udostępni Pan czytelnikom?

TV: Wszystko mam zapisane w dzienniku. Tylko to wyjąć, zredagować i wydrukować. Może kiedyś to zrobię. Każde odwiedzane przeze mnie miejsce, każde miasto, każde muzeum, każdy kościół, w którym byłem, jest opisany w dzienniku.

EZ: W Pańskiej książce jest wiele odniesień do literatury.

TV: No tak. Kiedy byłem w Buenos Aires cztery lata temu, odwiedziłem oczywiście miejsca „gombrowiczowskie”, ale z drugiej strony interesował mnie także Borges, który znał trochę Gombrowicza. Nic z tej ich znajomości zresztą dobrego nie wyszło – co Gombrowicz opisał z niesamowitym humorem w „Transatlantyku”. W Argentynie przebywali też pisarze litewscy, np. pisarz Kėkštas, który był pierwszym tłumaczem Czesława Miłosza na język litewski. Pochodził z Wilna, był obywatelem polskim, walczył w Armii Andersa, pod Monte Cassino został ranny i odznaczony. W Argentynie pracował

jako robotnik, dostał wylewu, nie miał jednak pieniędzy na leczenie i rehabilitację i (jako żołnierz polski) trafił w końcu do Warszawy. Odwiedziłem go, gdy mieszkał w domu weteranów. Nie ma go już wśród żywych, ale w dziejach literatury litewskiej to piękna i bardzo interesująca postać. I dla Polaków też ciekawa, ponieważ tłumaczył nie tylko Miłosza, ale i Słowackiego, czy Broniewskiego. Na język polski przełożył także wspaniałą powieść Ernesto Sabato „Tunel” – bardzo znaną powieść. To wszystko odbywało się 40 lat temu, ale to jedna z postaci, która łączy Litwę i Polskę. I o tym też piszę.

EZ: „Z dzienników podróży” przetłumaczyła Alina Kuzborska, wilnianka, od lat mieszkająca w Polsce – a teraz w Olsztynie. Czy ma to dla Pana znaczenie, że łączy Państwa nie tylko znajomość języka litewskiego?

TV: Oczywiście, że tak. Pani Alina Kuzborska tłumaczy już nie pierwszą moją książkę i chciałbym tą drogą jej podziękować, ponieważ tłumaczy bardzo dobrze. Naprawdę bardzo dobrze.

EZ: Ważną dziedziną Pańskiej pracy są tłumaczenia. Tłumacz jest istotną postacią nie tylko dla autora, ale także dla czytelnika.

TV: Niewątpliwie. Tłumacz przyczynia się do tego, że kultura staje się globalna, że możemy mówić o literaturze światowej, a nie tylko o literaturze tego czy innego narodu. Tłumaczyłem dość dużo, bo ja właściwie nie jestem osobą piszącą zbyt wiele. Wierszy mam około 200 i chyba tyle samo tłumaczeń. Niedawno na Litwie ukazał się tom moich tłumaczeń wierszy Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Stanisława Grochowiaka, Cypriana Norwida i Stanisława Barańczaka, który był także tłumaczem moich utworów. Było to dla mnie wielkim honorem, bo on jest absolutnie genialnym tłumaczem.

EZ: Tomas Venclova – poeta, eseista, publicysta, literaturoznawca. A Pan jakim mianem by się określił?

TV: Zarabiam na życie tym, że – jak Pani powiedziała – jestem literaturoznawcą. Wykładam historię literatury i dość dużo prac naukowych na ten temat napisałem. Niektóre z tych prac są tłumaczone na język polski, choć napisane były głównie po rosyjsku, czasem także i po angielsku, po litewsku, ale czasem i po polsku. Tym zarabiam na życie. Ale chciałbym być przedstawiany jako poeta. Chociaż to naprawdę nie przynosi większego zarobku.

EZ: Porusza się Pan po trójkącie językowym „rosyjski-polski-litewski”. Powiedział Pan kiedyś, że litewski jest matką, rosyjski – żoną, a polski – kochanką.

TV: Litewski to mój pierwszy język, w wieku 10-12 lat nauczyłem się rosyjskiego, potem dość długo mieszkałem w Rosji, dlatego po

rosyjsku mówię tak samo, jak i po litewsku. A polskiego nauczyłem się, mając 19-20 lat. To były lata 1956-1957 i polska prasa była wówczas dla nas bardzo interesująca. Właśnie czytając polską prasę – na początku „Przekrój”, a potem inne tytuły – nauczyłem się polskiego. A przytoczone przez Panią porównanie używam w stosunku do angielskiego. Czwartą kobietą w tym układzie już się nie zmieści. Dlatego z angielskim mi trudniej niż z polskim czy rosyjskim. Żonę mam Rosjanę i w domu często mówimy po rosyjsku, chociaż żona zna angielski, niemiecki i trochę litewski. Niedawno nauczyła się polskiego i – jeśli trzeba – potrafimy rozmawiać ze sobą także po polsku. Trochę znam też francuski i włoski. Ale wie Pani, jak to jest z tymi językami... Jest taka anegdotka – jak reagują różne narodowości, kiedy człowiek kiepsko mówi w ich języku: Francuz przestaje zwracać na siebie uwagę, Niemiec poprawia, Anglik robi twarz pokerzysty, jak gdyby nigdy nic, a Włoch zaczyna kaleczyć ten język tak samo, jak ty kaleczysz. Dlatego we Włoszech jest bardzo łatwo się porozumieć. Kiedy jadę do Włoch, a często mi to się zdarza, to od razu zaczynam mówić po włosku. To oczywiście nie jest włoski – to jest coś takiego, co Julian Tuwim nazywał „romaneska”. Język z rzeniami romańskimi. Mogą to być wyrażenia włoskie, francuskie, rumuńskie i z dowolnie stosowaną gramatyką. Tuwim miał na to również określenie „una lingua furiosamente libre”. Mówił, że w tym języku można się zawsze porozumieć w każdym kraju romańskim, z wyjątkiem Francji. Francuz tego nie znieśie, ale Włoch i Rumun znosi to z łatwością. I kiedy bywam w tych krajach, to używam właśnie tuwimowskiej „romaneski”.

Wywiad został przeprowadzony w maju 2010 roku na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie, gdzie autor promował swoją najnowszą książkę – „Z dzienników podróży”.

Tomas Venclova jest litewskim poetą, eseistą oraz badaczem i tłumaczem literatury pięknej. Od młodości związany z litewską i rosyjską opozycją antykomunistyczną. W latach 70. działał w litewskim ruchu obrony praw człowieka, współpracując m.in. z „Kroniką Kościoła Katolickiego” na Litwie. Obecnie jest profesorem języków i literatury słowiańskiej na uniwersytecie w Yale. Związany z polską kulturą i literaturą (od 1983 roku członek zespołu redakcyjnego „Zeszytów Literackich”). Tłumaczył też polską poezję na język litewski (m.in. Cypriana Kamila Norwida, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, Wisławę Szymborską), jest również autorem monografii o Aleksandrze Wacie.

Tomas Venclova

wiersze w przekładzie
Aliny Kuzborskiej

Krajobraz. Lato 2001 roku

Susan Sontag

Na początku był wiatr i samotność szylców,
w beładnym piasku osadzona wieża,
szklanki szarych podwórzy, przez które
widzisz kolistą przestrzeń Parmenidesa.

Do sośniny na przedmieściu leci kurz.
Niewidzialny motyl musnął skrzydłem
wolutę. Odbicie gwiazdy na tafli
wody rybią łuską zmiata przypadek.

W megafonie przy otwartym oknie
miedziany grzmot anielskiej trąby,
Bóg otwiera zmrużone oczy, z placu
zostawia szczyptę miłości i popiołu.

Nad straconym miastem wschodzi słońce.
Światło po omacku odnajduje stół,
opustoszały czas rozbija zdanie,
tak niepodobne do minionej nocy.

Skrzyżowanie

Od szosy droga wiodła na podmokłą
łączkę. W kotlinie widziałeś, jak gaśnie
słońce, czepiając się lśniącego drutu.
Pasiasty słup był uwieńczony herbem,
cement piłowało szorskie zielsko.

Na północny wschód posuwał się ciasny,
cierpliw kraj na powitanie nocy.
Na skraju olszyny sarna skubała
liście. Za widnokregiem mniej więcej
wyczuwałeś jezioro, a nad brzegiem
ciemne wody odbijały dziecko,
tak bardzo podobne do ciebie. Pieśń
wiła się nad trzcina, kładką, datą
na zarosłym trawą nagrobku. Czas,
co umknął pamięci czy biografowi,
chyba jest najważniejszy, ponieważ jest
jednocześnie ciężarem i talizmanem.

Na lewo rozpościerał się dziki las.
Prześwitywał w nim przesmyk – przesieka
ukazująca bagno albo zwykłe błoto,
gdzie było pełno niewidzialnych istot,
kosmatych, roześmianych, wymyślonych
przez zwariowanego grafika. W oddali
czerniły się łąki i zapadłe mosty.
Zimny kanał sięgał granicy morza,
nie odnajdując ni miasta, ni floty.
Wiedziałeś: dzieci rodzą się tam, aby
dzielić się w mroku bram strzykawkami,
złością, petami, drobnymi i spermą.

Za plecami – blade dymy domostwa,
a psy szczekają, strzegąc budynków
przed nieproszonym gościem. Już późno.
Między wąwozami i grodziskami
wiją się prawie nieprzejezdne dróżki,
a gołe mury ukrywają ogień.
No cóż, skoro los tak zrządził, to bądź
w tej krainie koło bram ojcowizny,
na głuchym potrójnym skrzyżowaniu, gdzie
widnieją słupy, pozostałe z tamtych
czasów, niegdyś śmiertelne, gdzie ostry luk
wiaduktu przecina pustkowię.

Dotknij chłodnej trawy dzieciństwa.
Jesteś w domu. Potrójne morze szumi
w muszli nocy. Zaskarbiłeś sobie łaski:
ten dziwny czas, stróż, którego tu nie ma
i powietrze stęsknione za głosem.



Rys: Jan Pzelomiec

Alina Kuzborska
„Nie gorzej niż
Barańczakowi...”

z olsztyńską tłumaczką
rozmawiała Ewa Zdrojkowska



w y w i a p

Ewa Zdrojkowska: Tłumaczy pani utwory Tomasza Venclovy dzięki współpracy z wydawnictwem, czy jest to kontakt osobisty?

Alina Kuzborska: Kontakt z Venclovą nawiązałam, kiedy przetłumaczyłam kilka jego wierszy i opublikowałam w „Borussi” (nr 17 1998/1999). Poproszono mnie o przedstawienie jednego z litewskich poetów. Wybrałam Venclovę, ponieważ uważam go za czołowego przedstawiciela literatury litewskiej i najbardziej znanego na świecie piszącego Litwina. Tłumaczenia i krótki tekst wysłałam do mistrza Venclovy do Yale. Dostałam słowa pochwały i to mnie bardzo zachęciło do dalszej pracy. Od tego momentu już miałam z nim osobisty kontakt.

EZ: Venclova chwali pani znajomość litewskiego.

AK: Miło mi słyszeć słowa uznania. Znam język, jestem człowiekiem pogranicza. Ukończyłam polską szkołę na Litwie, studiowałam germanistykę na litewskim uniwersytecie w Wilnie w czasach radzieckich...

EZ: ...tym samym, który kończył także Tomasz Venclova...

AK: ...i Adam Mickiewicz jeszcze wcześniej. Sam uniwersytet, duch miasta – to ukształtowało w pewnym sensie moją osobowość.

EZ: Tłumaczy pani także z języka niemieckiego, hiszpańskiego i rosyjskiego. W Wydawnictwie „Borussia” z pani inicjatywy pojawiła się seria RE-MIGRACJE.

AK: Seria zakłada wydanie utworów autorów, którzy wyemigrowali i piszą w języku kraju, który zamieszkują. W pierwszej kolejności chciałam pokazać taką polsko-niemiecką literaturę.

EZ: A czy to jest jakieś nowe zjawisko?

AK: Na Zachodzie to nie jest nowe zjawisko. Już od ponad 30 lat można obserwować taką zmianę języka, przejście na język literacki wybranego kraju. W Polsce jeszcze nie znam żadnego obcokrajowca, który by pisał po polsku z własnego wyboru. Ale język ojczysty już nie jest czymś oczywistym. Emigranci starszej daty trwali przy języku, język był substytutem, przeniesieniem ojczyzny. Natomiast młodsze pokolenie już tak nie uważa. Skoro nie ma krajów jednolitych narodowościowo, to zmiana języka jest też czymś naturalnym w zmieniającym się, globalnym świecie.

EZ: Tomasz Venclova, od lat mieszkając w Stanach Zjednoczonych, pisze po litewsku. Choć monografię poświęconą Aleksandrowi Watowi napisał po angielsku, ale wiersze i dzienniki po litewsku. „Z dzienników podróży” była trudną książką do tłumaczenia?

AK: Nie. Najtrudniejsza jest poezja, aczkolwiek najbardziej fascynująca. To jest prawdziwe wyzwanie. Książkę „Z dzienników podróży” tłumaczyłam z wielką przyjemnością. Sama mogłam podróżować po świecie z autorem. Najtrudniejsze były być może nazwy geograficzne, których jest mnóstwo. Venclova poruszał się po krajach pozaeuropejskich. Zanim przyjął jakąś zasadę, jak nazywać rzeczy po imieniu, i zaczęłam sięgać do dobrych przewodników turystycznych, to miałam pewne kłopoty.

EZ: Książka zaczyna się od opowieści o Japonii i pierwsza notatka pochodzi z 1985 roku, ale czy znaczy to, że czytelnik dostaje przebrzmiałe historie?

AK: „Dzienniki” są tekstem, wydawałoby się, przywiązany do pewnych czasów i trwającym w czasie. Jednakże mają inny charakter. Venclova rejestruje krajobrazy, opisuje miasta, architekturę, porównuje różne zjawiska kulturowe, opisuje biedę i przepych, opisuje ludzi – to się nie zmienia. Zmieniają się ustroje polityczne. Przyroda, architektura ma inny wymiar i to się nie starzeje.

EZ: W swoich opowieściach o krajach i ludziach nie ocenia, nie wartościuje...

AK: Tak, to jest bardzo cenne w książce. Venclova to podróżnik wdzięczny. On widzi i opisuje. Porównuje np. jakąś świątynię buddyjską z katedrą w Kolonii, żeby to uporządkować czasowo, pokazać, jak wielkie różnice dzieli Europę czy Azję. O biedzie w Indiach pisze bez europejskiej buty, podobnie, jak i o nierównościach społecznych w Afryce Południowej. Po prostu jest trzeźwym obserwatorem.

EZ: „Opisać Wilno” – to tytuł wcześniejszej książki Venclovy, którą pani także tłumaczyła. Rozumiem, że tu najmniejszych problemów nie było, wszak to opowieść o pani rodzinnym mieście.

AK: Tak. Tę książkę tłumaczyłam z ogromną przyjemnością i pewnym sentymentem. Venclova opisywał miejsca znane mi. Tam studiowałam, mieszkałam, spędziłam wiele lat swojego życia. Wilno Venclovy w pewnym sensie już dzisiaj nie istnieje. Venclova jest specjalnym obserwatorem. On widzi miasto wielowymiarowe w sensie historycznym i kulturowym. Widzi mniejszości narodowe, które kiedyś stanowiły większość tego miasta. Opisuje je bezstronnie, bez resentymentów. Nie zdziwiłabym się, gdyby Litwini zarzucali mu pewien kosmopolityzm, czy polonocentryzm, albo rusofilizm, czy brak żydofobii.

EZ: Rozmawiamy o prozie Venclovy, ale chcę zapytać jeszcze o wiersze, które są dla niego tak ważne. Czy doświadczenia podróży w wierszach jest widoczne?

AK: Tak. Jak najbardziej. Venclova jest Odyseuszem intelektualnym. Wędrowcem. Opisuje miasta, krajobrazy, kraje. Jego wiersze są bardzo intertekstualne, nawiązujące do doświadczeń innej literatury, literatur obcych.

EZ: A co dla pani jako tłumaczki było najważniejsze – dosłowność czy struktura utworu?

AK: Wszystko jest ważne. Wiersz przetłumaczony musi pozostać tym samym wierszem. Venclova jest poetą klasycyzującym. Rymuje, tu akurat daje o sobie znać na pewno wpływ literatury rosyjskiej, ponieważ głównie pracuje w tej materii i pewne rzeczy robi, jak poeci rosyjscy, czyli skanduje. Jego wiersze są bardzo dźwięczne. Czytane głośno dają ten właściwy efekt. Budowa wiersza też jest istotna. I te wszystkie rzeczy: strukturę, dźwięk i treść trzeba ująć. Więc pierwszy krok to jest przetłumaczyć dosłownie, później policzyć sylaby i zbadać, jakie stopy i tropy zostały użyte. Niektórzy lubią rozwiązywać krzyżówki, ja wolę łamigłówki w postaci wierszy Venclovy.

EZ: A ja jeszcze dopowiem, że pierwsze pani tłumaczenia wierszy Tomasa Venclovy autor pochwalił i porównał z tłumaczeniami Stanisława Barańczaka. Tak było?

AK: Tak było. Może nieskromnie o tym mówić, ale to bardzo zachęciło mnie do dalszej pracy. Otóż wiersze, które opublikowałam w „Borussi” na początku mojej bytności w Olsztynie, przetłumaczyłam, nie wiedząc, że te same wiersze tłumaczył już Barańczak i opublikował w tomiku „Rozmowa w zimie”. Czyli naiwność była chyba tutaj zbawieniem. Wysłałam je, tak jak już wspomniałam, Venclovi i on powiedział, że niektóre rymy udały mi się nie gorzej niż Barańczakowi.

EZ: Kolejne tłumaczenia ?

AK: Teraz zajmuję się tłumaczeniami z innej bajki. Dosłownie. Są to bajeczki dla dzieci Kęstitusa Kasparowicziusa.

EZ: A Venclova?

AK: Chciałabym też opublikować wybór jego nowych wierszy.

Alina Kuzborska tłumaczy zarówno prozę, jak i poezję Tomasa Venclovy. Jest adiunktem w Katedrze Filologii Germańskiej i kierownikiem Centrum Egzaminacyjnego Goethe-Institut przy UWM w Olsztynie.

Boże pełen miłosierdzia*

Boże pełen miłosierdzia,
gdyby Bóg nie był pełen miłosierdzia,
miłosierdzie byłoby w świecie, nie tylko w nim.
Ja, który zrywałem kwiaty na wzgórzach
i spoglądałem w dół ku dolinom,
ja, który znosiłem trupy ze wzgórz,
mogę powiedzieć, że w świecie nie ma miłosierdzia.

A byłem królem Morza Martwego,
niezdecydowany stojąc w oknie,
liczyłem kroki aniołów,
dźwigałem ciężary w strasznych
konkursach cierpienia.

Użyłem ledwie małej części
słów ze słownika.
Zmuszony odcyfrować zagadki wbrew woli,
wiem, gdyby był Bóg pełen miłosierdzia,
świat byłby miłosierny,
nie tylko on.

*El male rachamim (Boże pełen miłosierdzia) to modlitwa tradycyjnie odmawiana za zmarłych. Wiersz nawiązuje do pierwszych słów modlitwy, ale także do ofiar czterech wojen, w których poeta uczestniczył.

Pierwszy deszcz

Pierwszy deszcz przypomina mi
O wznoszącym się letnim kurzu.
Deszcz nie pamięta deszczu zeszłorocznego.
Rok jest jak tresowane zwierzę bez wspomnień.

Wkrótce znów włożysz swą uprząż,
Piękną i haftowaną aby podtrzymywała
Przeżroczone pończochy: ty
Ogier i woźnica w jednym ciele.

Biała panika miękkiego ciała
W przerażeniu nagłej wizji
Zamierzchłych świętości.

Jehuda Amichaj – יהודה עמיחי (1924-2000) – był jednym z pierwszych poetów, tworzących we współczesnym języku hebrajskim, a zarazem jednym z twórców, którzy współczesnej literaturze hebrajskiej zapewnili trwałą pozycję w światowym dziedzictwie kulturowym. Jest obecny w literaturze światowej dzięki tłumaczeniom na ponad 40 języków. Pisząc we współczesnej hebrajszczyźnie, zdołał powiązać ją z literacką tradycją Biblii. Nie stronił też od kolokwializmów i obrazów życia codziennego, stawiając równocześnie w swych utworach podstawowe kwestie filozoficzne i moralne. W swej pierwszej powieści podjął również próbę racjonalizacji doświadczenia Holokaustu, z którym nie zetknął się osobiście, gdyż już w 1935 roku przeprowadził się z rodzicami z Niemiec do Palestyny. Wiele jego utworów ma również charakter autobiograficzny.

Prezentujemy kilka wierszy autora w przekładzie **Krzysztofa Dariusza Szatrawskiego**.

Jerozolima

Na dachu starego miasta
pranie schnie w słońcu późnego popołudnia:
białe prześcieradło kobiety, która jest moim wrogiem,
ręcznik mężczyzny, który jest moim wrogiem,
aby zetrzeć pot z jego brwi.

Na niebie starego miasta
latawiec.
Na drugim końcu sznurka
dziecko,
ale ja go nie widzę
zastania je mur.

Wywiesiliśmy wiele flag
i oni wywiesili wiele flag.
Abyśmy myśleli że są szczęśliwi.
Aby myśleli żeśmy szczęśliwi.



Rys. Jan Przelomiec

Na Ulicy Rabbiego Kooka

Na Ulicy Rabbiego Kooka
Nie znajduję tego dobrego człowieka –
Sztrajmel który nosił kiedy się modlił
Jedwabny cylinder, który nosił gdy rządził,
uleciały z martwym wiatrem
spłynęły z wodami
moich snów.

Wchodzę na ulicę Proroków – i nie znajduję żadnego.
I na ulicę Etiopczyków – a tam można kilku znaleźć. Szukam
dla ciebie mieszkania na życie po mnie
wyścielam twoje samotne gniazdo,
ustalam miejsce mojego bólu potem z moich brwi
sprawdzam drogę twojego powrotu
i okna twego pokoju rozwartą ranę,
pomiędzy zamkniętym i otwartym, między światłem i ciemnością.

Jest zapach pieczenia w tym domu,
jest sklep, gdzie egzemplarze Biblii rozdają za darmo,
za darmo, darmo. Niejeden prorok
rezygnował z pokrętnych dróg
kiedy wszystko się zawałiło a on stawał się kimś innym.

Idę ulicą Rabbiego Kooka
– twoje łóżko na moich plecach jak krzyż –
choć trudno uwierzyć
że łóżko kobiety stanie się symbolem nowej religii.

Zaklinanie nieobyczajowe

(część 2)

Wyjazd do Krynicy Górskiej pod koniec wakacji był właściwie jednym z pomysłów Antoniego. Odbyliśmy bowiem tego lata dziwnie mało podróży – raz tylko byliśmy nad wodą w Białostrzegach, raz na zakupach i kolacji w Warszawie, i dwa tygodnie spędziliśmy u jego rodziny w Zamościu – więc Antoni uznał, że taki integracyjny wyjazd dobrze nam zrobi przed początkiem roku. Znajomi nauczyciele z naszej szkoły zgodzili się chętnie, jakby chcąc poczuć jeszcze wakacyjny luz. Pojechało nas w sumie dwadzieścia jeden osób, wynajęliśmy pokoje w stosunkowo tanim hotelu kilometr od Domu Uzdrowskiego oraz miejsca, gdzie sprzedawał swoje obrazy Nikifor, i daliśmy sobie pięć dni wakacyjnego luzu, by zaraz potem powrócić do pracy poprzedzonej radą pedagogiczną.

Antoni załatwił nawet wejściówki na Festiwal im. Jana Kiepury. Okazyjnie i było ich tylko pięć, więc przy śniadaniu wszyscy ze śmiechem stwierdziliśmy, że najlepiej, jak zrobimy losowanie, kto wieczorem pójdzie na koncert. Grzesiek od historii marzył o tym, że bilet trafi do niego, niestety, los nie dał mu szansy.

Uśmiechnął się za to do Gabrieli, niezwykle atrakcyjnej blondynki, pani od biologii, wysokiej, szczupłej, długonogiej i zaraz po studiach, a więc w bardzo dobrym wieku. Ja byłam od niej kilka lat starsza, czułam się nieco przytłumiona jej urodą i kobiecymi strojami, które nosiła z wdziękiem. I mówiłam o niej na przerwach w pokoju nauczycielskim, że nigdy w życiu nie ubrałabym, jak ona, tak krótkiej spódnicy i obcistej bluzki, że za nic w świecie nie kupiłabym nie pasującej do stroju torebki i nie malowałabym tak mocno ust. Moje koleżanki kiwały smętnie głowami, przynajmniej mi rację, i z tego naszego wspólnego gadania zawiązał się między nami swoisty pakt przeciwko pięknej Gabrieli. Wieczorami dzieliłam się swymi uwagami z Antonim, który przyznawał mi rację, mówiąc, że nie znosi blondynek i że poziom inteligencji Gabrieli jest porównywalny z poziomem przeciętnego gimnazjalisty. Obserwowaliśmy, jak Grzesiek, kawaler do wzięcia, od początku tamtego roku szkolnego wodził za nią wzrokiem, jednak przez dziesięć miesięcy jakoś między nimi nie zaiskrzyło. Gabriela wydała się mało zainteresowana wdziękami naszego szkolnego Casanovy.

Kolejne losowane bilety trafiły do Marka, chemika, do Joaśki od matematyki i Bożenki od muzyki. Z całej trójki ta ostatnia cieszyła się najbardziej. Prawie na końcu podeszłam do woreczka ze zwiniętymi w kulkę losami. Sięgnęłam ręką i wyciągnęłam ten szczególny dar od losu. Gdy dziś to wspominam, zastanawiam się, czy wszechświat nie zachichotał?

Wtedy się nawet ucieszyłam, podskoczyłam do góry i zawołałam, że pierwszy raz udało mi się wygrać. A przecież wiedziałam o tym,

że nie lubię opery! Mogłam ten bilet oddać na przykład zakochanemu w tej muzyce Grzeskowi. Swój bilet oddała mu piękna Gabriela.

Festiwal rozpoczął się wstępem Bogusława Kaczyńskiego, który z wielką pasją i swadą mówił o kunszcie artystów, których za chwilę usłyszymy. Póki interesował mnie jeszcze wystrój wnętrza i bogactwo strojów, jakoś znosiłam dłużące się minuty. Potem, gdy obejrzałam już wszystko, co było warte obejrzenia, zaczynałam przekonywać się coraz bardziej o ciężkim losie początkującego melomana. No cóż, to nie była moja muzyka, pomyślałam, wychodząc do toalety dla rozruszania się. Wróciłam, ale sytuacja się nie zmieniła, muzyka nie poderwała mnie do lotu jak Grześka, byłam widać na nią za ciężka... I potem naszła na mnie senność, której nie mogłam opanować i moja bezwładna głowa kilka razy zakiwała się nawet na stronę Grześka. Przyjął to z uśmiechem dość odległym, bo wsłuchany był w coś, czego nawet nie umiałabym ponownie rozpoznać. I wtedy stwierdziłam, że nigdy w życiu już nie pójdę na żadną operę i że stanowczo wracam do hotelu. I wyszłam. Może gdybym została, to mój świat nie rozpadłby się wtedy na drobne kawałki, ale skąd mogłam wiedzieć? Nic, żadnego przecucia, żadnej nawet myśli, zwiastującej rychły koniec mego uporządkowanego świata.

Nie chciałam jechać taksówką, bo obawiałam się, że słono zapłacę za ten kilometr, poszłam więc pieszo. Przed hotelem spoglądałam do góry. W naszym pokoju widać było słabe światło, bo zapadła już lekka szarówka, wcześniej, niż jeszcze miesiąc temu. Sierpień nieubłaganie prowadził do jesieni, nie tylko astrami, ale również zmierzchem. Na dole spotkałam naszą grupę, wychodziła właśnie do miasta na piwo. Musiałam im wytłumaczyć, co robię tak wcześniej w hotelu i że na pewno do nich dołączę, jak się tylko przebiorę.

- A Antoni? Nie idzie z wami? – zapytałam wtedy.

- Poszedł do pokoju położyć się, narzekał na silny ból głowy. Dałam mu dwa ibupromy – powiedziała jedna z moich koleżanek.

Miewał takie bóle, wiedziałam o tym. Jak mówił – to migreny, jego mama również z nimi się borykała. Wiedziałam, że potrzebuje wtedy ciszy, ciemności i tabletek, czasem nawet wymiotował z bólu. Zrobiło mi się go szkoda. Krynica Górską czeka, a on cierpi właśnie teraz. Postanowiłam, że wejdę cichutko do pokoju, na paluszkach, żeby go nie zbudzić, bo pewnie śpi po tabletkach. Sen był najlepszym lekarstwem na te jego bóle. Z krzesła przy łóżku wezmę moje codzienne ubranie, przebiorę się w łazience i wyjdę, dołączę do tamtych. Nikt mnie tu nie zna, nie będzie gadał, że chodzę po barach, wykorzystam ostatnie chwile luzu. Coś było jednak wtedy we mnie, co krzyczało o ten luz, stłamszony zabraną młodością, szybkim

małżeństwem, statecznym zawodem i mężem, na którym w każdej chwili mogłam polegać. Stąpałam po schodach powoli, spokojnie, uważając, by obcasy nie wydawały żadnego dźwięku, aż wreszcie ściągnęłam buty całkiem, niosąc je w dłoniach. Przypomniały mi się ubiegłoroczne wakacje nad morzem, jak szłam boso po piasku, tak samo za paski trzymając sandały i wyobrażając sobie, że idę tą plażą, jak w kadrze jakiegoś filmu, a kamera filmuje ruch piasku, rozdrabnianego moimi krokami i co jakiś czas w kadr wchodzi te roztańczone buty, dyndające beztrzesko w moich dłoniach.

Klamka od pokoju ustąpiła łagodnie i bezszelestnie, bo hotele z końcówki lat dziewięćdziesiątych były już wtedy dość luksusowe i przebywanie w nich przypominało siedzenie w studiu nagrań, wytłumionym tekturowymi wytłaczankami do jajek. Ściany chętnie wylapywały wszelkie stuknięcia, głośniejsze oddechy, cieszyłam się, że tak jest, że nie obudzę przynajmniej zmęczonego migreną Antoniego.

Buty zostawiłam w przedpokoju i bezszelestnie poszłam dalej. Drzwi były prawie zamknięte, jednak ten lekki prześwit lampki nocnej w kształcie pionowej kreski dawał mi szansę na powolne i bezszelestne uchylanie skrzydła. Wystarczyło je lekko popchnąć. Zrobiłam to akurat w momencie, gdy znajomy skurcz na nagich plecach mojego męża jednoznacznie zwiastował rozkoszny finał w gościnnym wnętrzu kobiety, której drobne dłonie widziałam na tych wzruszonych dreszczem plecach. Mój mąż wydał znany mi doskonale od lat jęk, cichy, jakby stłumiony poduszką, zachowywał się identycznie, jak ze mną, niczego dla niej nie zmienił, nikogo nie udawał, żadnego aktora z filmu erotycznego, krzyczącego nienaturalnie i pokrzywionego grymasem twarzy w nieistniejącej ekstazie.

Jej szczupłe długie nogi, za długie, bo wyglądała jak jasny pająk, popychający wielkie jajo, oplotły go jeszcze przez chwilę, po czym zwolniły i opadły na pościel, na której jeszcze dziś rano, w podobnej pozycji, odbywaliśmy akt małżeński, może bez finezji, ale z tak samo zaaranżowanym finałem. Stałam w tym lekko uchylonym prześwicie, nie wiedząc, czy mogę wejść i odrzec z intymności tę oczywistą chwilę, czy może zapukać najpierw, albo może wycofać się i wrócić na ten koncert, jak gdyby nigdy nic. Jakieś drżenie, niepokój podszły mi do gardła, a potem pojawiło się niedowierzenie, że to dzieje się naprawdę, że może to jakiś banalny film. Mój mąż wycofał się lekko, jakby niechętnie i położył na kobiecie, i wtedy zobaczyłam, że ta kobieta ma długie włosy blond i szczupłe ramiona. Popchnęłam drzwi, bo chciałam się tylko upewnić, czy to na pewno ona, której tak nie lubiłam, o której mówił, że ma umysł gimnazjalisty.

Ich twarze na mój widok sprężyły się, zastygły w jakiejś panice, piękna Gabriela energicznie zaciągnęła na siebie kołdrę, Antoni zerwał się nagi, bezwstydnym i podbiegł do mnie, a ja nie chciałam robić scen, bo nawet nie umiałam, nie wiedziałam, czy mam krzyknąć, czy bić po twarzach, czy może jednak wyjść.

Antoni coś do mnie mówił, ale dźwięki zapadły jak w watę, te hotele są widać wytłumione nawet od uczuć i wyjaśnień, bo nic nie pamiętałam. Spakowałam się wtedy tego samego dnia. Wyrzuciłam jego rzeczy z naszej wspólnej torby, nie przejmując się, jak wróci z Krynicy do naszego podwarszawskiego mieszkania, w którym na półkach szaf nie będzie już, jak wróci, jego rzeczy.

Cdn.



Akryl na płótnie z cyklu „Katyń 2010” : Agnieszka Przekorniec



Anna Rau

Świadomość tworzy etniczność – a słońce zstępuje ze Wschodów

(głębia światów w poezji Selima Chazbijewicza)

Nad ramieniem poety Selima Chazbijewicza, gdy pisze, pochylają się trzy sylwetki. Jedna trochę niewyraźna, jakby owiana dymem, okryta jest kapą ze zszytych ciemnobrązowych skór, u jej głowy wiszą kitki ogonków jakichś małych zwierząt, zza pazuchy wychyla ruchliwy nos drapieżna fretka. Druga – o płaskiej twarzy ze skośnymi oczami i pięknie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi – ubrana jest w kaftan ze skóry, ma kołpak na głowie i sokoła na ramieniu. Trzecia uwieńczona jest turbanem, cała owinięta bielą, smukła i wyniosała, o wydatnych wargach i długiej brodzie. Nachylają się i szepczą poecie do ucha, niczym anioły na miniaturach średniowiecznych autorom natchnionym. Chazbijewicz zrywa się, odchodzi. Wtedy cienie prostują się i zastygają, czekając nieruchomo, aż człowiek znów będzie pisać. Step się skrada, jurta rozchyła poły, minaret schyla pięć razy dziennie w pokłonie...

Trudno określić klimat panujący na kartach tomików Chazbijewicza – a do tej pory (2010 r.) ukazało się pięć – innym mianem niż wielokulturowość. Poeta (wywodzący się z polsko-litewskich Tatarów) w dwóch ostatnich tomach (*Rubajijat albo Czerowiersz* i *Hymn do Sofii*) nieustannie sięga do korzeni swojej świadomości i nieświadomości – przywołując Bliski – bardzo bliski! – Wschód. Och, jako podmiot liryczny wręcz sam wyznaje, gdzie jest jego skarb – gdzie bije jego serce: „dlaczego we mnie miłość woła / Drogą na Wschód podąża”. Ukazuje więc korzenie swego jestestwa, tkwiące naprawdę głęboko – w pierwotnych jaskiniach, na Dzikich Polach, gdzie Tatarzy, i wreszcie na krętych uliczkach miast Arabii – gdzie „zludzenia pustyń pod powiekami” i miasta o koronkowej architekturze. To sięganie do pierwocin swego istnienia widać zwłaszcza w wymienionych dwóch tomach, które stanowią zresztą świadectwo dojrzałości artystycznej poety. Pierwsze trzy zbiory poematów były inne – ukazywały kształtowanie się wartości podmiotu lirycznego (i warsztatu pisarskiego), jego wędrówkę oraz poszukiwania bardzo na oślep. W nich to na oczach czytelnika podmiot liryczny „dorastał”, opisując i naginając swe niespokojne i niespełnione Id i Ego. „Ja” umieszczało rozważania nad „Ja” w centrum i tam – pyszne i zropaczone – wirowało wokół swej osi, zawieszona na nici przez wielkie, beznamienne, bezlitosne palce. „Ja” to dziecko, śpiące w niemowlęcym gniazdku i myślące o matce, które potem dorosło, zaczęło fascynować się kobiecością i w końcu – drzeć ze strachu. „Szept / tylko szept / został / obroń mnie – Pasterzu pastuszku / sól dzieciństwa. Gdzie // liście / otulają cmentarz: aleje / (...) Błądzi we mgle / Ból, ból okrutny (...)”. W dawnych strofach Chazbijewicza gną się więc kuszące postacie kobiet, spełnia się i przepelnia fascynacja nimi, zaczyna się zapadanie w sen i budzenie, a nad tym wszystkim czuwa spokojnie uśmiechnięta twarz matki. Dwa pierwsze tomiki poety to bardzo oniryczne wersy, nawiązujące do Czechowicza czy młodego Mitosza. Czuć w nich pośpiech poszukiwacza, wewnętrzne udręczenie tego, co szuka – nie wiedząc, czego. Kolejne przystanki, kolejne, zdawałoby się, odkrycia – to pomyłki, gdy „gasty cudze raje”, jak szepcze cicho podróżnik. Zdobywane obce kraje, co miast sezamami – okazały się pieklami... Podmiot liryczny sam w końcu porównuje się do okrętu pośród morza, gdy tak miota się wśród wyborów, wśród pokus,

wśród przyjemności-demonów, które dręczą, wśród luster, w których odbija się tylko własna wykrzywiona twarz. W końcu jednak ten, co tak słaby lub senny, gdy opisuje świat, krzepnie, zatrzymuje się, nabiera sił i mężnie – gdyż spotyka zielonookiego nauczyciela. Wiara, płynąca ze znaku półksiężyca koło gwiazdy, budzi nagle jego świadomość. Tak więc tchnienie, wionące z nowszych wersów, ukazuje zupełnie inny klimat: spokój, pewność, harmonię, siłę – mimo tak ludzkich wszak wątpliwości, drobnych rozpaczy, niewielkich zdziwień. Wreszcie zaistniał we wnętrzu poety punkt odniesienia – stały i niezmienny – co promienieje siłą i krzepi. Jednocześnie można zaobserwować trzy krainy, do których Chazbijewicz – już dojrzały jako twórca – stale wraca i nawiązuje. Pierwsza z nich – tak dawna, wręcz zapomniana, że podmiot określa ją mianem „dalsza niż rzeczywiste światy”. Gdzie ważny jest ogień, wróżebne rzuty kośćmi – kośćmi, które zostały po uctwach zmarłych – krąg szamański, z krążącymi wokół ptakami, gdzie duchy umarłych w zaświatach uczują – że śmiercią jedzą i piją – a „czułe kości umarłych” pozostają wróżom. To kultura zbieraczy, na wpół zwierzęca, prawdziwa. To bezustanne czuwanie, a jednocześnie sięganie w głąb siebie, kopanie, przebijanie się przez warstwy ziemi oraz opuszczanie tunelem o ścianach porośniętych mchem i obwieszonych rozplywającymi się pod wpływem wilgoci wizerunkami twarzy, które od wieków – od tysiącleci – straszą pożółkłymi zębami w nagich czaszkach. Tam świadomość, co sięga do swych źródeł, dobrowolnie przeistacza się w nieświadomość. Dziecinnieje, zasypia, pierwotnieje, wyzbywa się ubrania, porasta futrem, traci kształt, kładzie się obok tego, co nieokreślone, dyszy przed ogniskiem, czaszki przodków okrąża. Wtedy wypełzają zwinięte w prele węży żądze – „ciepło, cicho, przebiegłe”. Tam miłość to kość jelenia i łosia.

Kolejny ze światów opisywanych przez Chazbijewicza – stepy i dawny świat tatarski – może być „obcy” Słowianom i nawet trochę niepokojący (wszak pamiętamy, jakie obrazy związane z zastępem Tatarów na rączych mechatych konikach przechowuje polska zbiorowa mentalność). To nie miejsce dla miłosiernych i powolnych – to kraina łowów, gonitwy, szybkich oddechów, rywalizacji i natchnienia, płynącego z zachyśnięcia się spajaniem z naturą. Jest ostra i piękna jak szpony sokoła na przedramieniu, odurza jak dym ziół znad ogniska. Podmiot sam tego miejsca do końca nie rozumie: „Jeszcze nie umiem nazwać / tego co odeszło tego / co nie było nie będzie / niby tętent koni na / Dzikich Polach (...)”. To jeźdźcy w ubraniach ze skór i jedwabiu, co chlapią zimną wodą w pędzie, a kochają oczy kobiet i purpurę kobierców. Poeta jest pewny tylko tego, że zateęsknił za powiewem wiatru na policzkach i uczuciem totalnej wolności, skoro „pęd dnia wzniecił [w nim] obcość życia”, a codzienność wzmogła pragnienie powrotu do archetypicznego świata korzeni. Podmiot liryczny widzi w tym zjawisku uobecnienie osobistego mesjanizmu i określa taką świadomość etniczną słowami: „jestem Tatarem (...) / A moja ojczyzna / mieszka w rycinie starego meczetu”. Mimo, iż ten świat przeminął, utożsamia się z nim – „nieme są księgi Tatarów (...) / a ich kobiety odchodzą bez wojowników / nie ma już ognisk dymów”. Stąpają wilki, zapadł się w ziemię ojciec duchowy i przodek (jak go podmiot nazywa), Dżyngis

Chan. A jednak tylko owe związki oraz ich pragnienie wkładają poecie „kołpak białych chanów na głowę”. W tym wszystkim śmierć nie zawodzi, nie siecze, ale elegancko wsuwa się niczym smukła sylwetka w światło. To w niej skrzydła „feniksa Simurga unoszą” twórcę tam, dokąd również tęskni – do Arabii, czyli ostatniej z trzech krain wspomnianych w jego utworach. Wzywa go słodki, lekko drażniący dźwięk fletu (podmiot określa go mianem „mystycznego”). Tam widzi Błękit, Spokój Ciszy i Ocean, tam kobiety mają zasłonięte twarze, kolumny olśniewają bielą, mozaiki chwalą imię Proroka, a niskie, grzmiące dźwięki bębnów wirują w przestrzeni. Tam tańczą derwisze w sukniach rozwiniętych na kształt przekwitających, doskonałych kwiatów, meczety strzelają wieżami w niebo, przestrzenią rządzi miejscowa władza – kalif i emirowie. Z ust poety padają słodko i pociągająco brzmiące nazwy miejsc już nieistniejących lub znanych tylko z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*: Ak-Meczet, Gözlëve, Chadżybej, Bakczysaraj. Senność, wdzięk kotów rozleniwionych w ogromie godziny południa, ostre okna, snujące się w półmroku spirale kadzidel. Chazbijewicz porusza się wśród tych obrazów niczym Sindbad Żeglarz. Szukając miłości, ów Sindbad płonie w ogniu nieugaszonym i sam nie wie, czy to pożądanie wieczności i pokoju w dłoni Boga, czy pragnienie zachwyconych jego słowami oczu kobiety... Poeta krąży w tańcu derwisza, wiruje jako wir wodny-słup obłoków, niepewny swego zbawienia. Wirowanie zaś budzi w nim niepewność, czy Bóg jest jego drogą, celem i przyczyną, ten nieznan i oczekiwany zarazem. Podmiot mówiący, olśniony słońcem, upojony stojącym powietrzem, spokojny, oczekuje liitości śmierci – uwolnienia od zmęczenia życia i zarazem przewodnika ku Najjaśniejszemu ze Światel. Chazbijewicz zarazem, podejmując taki gatunek jak rubajaty (zwłaszcza tomik *Rubai'jjat albo Czwierowiersz*) – strofa charakterystyczna dla poezji Bliskiego i Środkowego Wschodu – i podtrzymując właściwy jej opisowo-refleksyjno-filozoficzny klimat, podkreśla mistykę tamtego świata. Bajecznie przy tym operuje zwięzłą metaforą i symbolami właściwymi kulturze Bliskiego Wschodu, gdzie Bóg jest Światłem Najwyższym, Światłem Światel, a istnienia czy materia, to Jego emanacje i stopnie – wyłącznie wrażenia światła. Tak więc dwa ostatnie światy, tatarski i arabski, łączy jeden niezwykle ważny – ba, wręcz najważniejszy! – element, czyli islam – wątek przewijający się przez niemal wszystkie utwory Chazbijewicza, nawet te o miłości, o rozpacz, o wędrowce. Według poety bowiem istotą miłości oraz celem wędrowki jest Bóg, a źródłem rozpacz – tylko Jego brak. Wiara więc to „półksiężyc na drzewcu [tatarskiego] buńczuka”, a Najwyższy to woda w skwarze zmagają z sobą i czasem.

Jakaż wizja ewolucji świata płynie ze strof-wspomnień nieświadomych Chazbijewicza! – od bagna snu do światła mistycznego i świadomości, od niepewnego taplania się w nieokreśloności do tańca derwiszów. Co przyciąga bardziej w tych strofach, opisujących Wschód – ich egotyka czy piękno?

Wszystko to sen i nostalgia.

Pięknie rozwinęła się wstęga słów zabłąkanego na ziemiach Północy Tatarów. O wdzięku olejku wylanego na dłoń. O aromacie Wschodu, tak tęskny, tak pociągający – nam, przybyszom z zimnej Słowiańszczyzny. Niczym olej wylany imię twoje, szepczą cicho wargi.

Wobec takich słów czytelnik może tylko odpowiedzieć – jak podmiot w jednym z utworów, jak sługa pokorny, jak Samuel budzony nocą przez Głos Nieznany – „Oto jestem”.

Buchara

O! miasto dalekiej wyobraźni,
Miasto archetypów mojej jaźni,
Poprzez bramy twoje wchodzę w inne światy,
Nic już nie mów więcej, proszę, zaśnij.

Babur Szach, władca Kabulu i Indii

Czytam wiersze i rządę, buduję ogrody i śpiewam,
Kabul – miasto moje pieścić i opiewam,
Piszę księgę przewag, czynów i zwycięstwa,
Pewności o zbawieniu – tylko tego nie mam.

Tomiki poezji Selima Chazbijewicza:

Wejście w baśń, Olsztyn, Pojezierze, 1978.

Sen od jabłek ciężki, Łódź, Wydawnictwo Łódzkie, 1981.

Czarodziejski róg chłopca, Gdańsk, Wydawnictwo Morskie, 1980.

Rubai'jjat albo Czwierowiersz, Gdynia, Wydawnictwo „Rocznika Tatarów Polskich”, [ca 2000].

Hymn do Sofii, Olsztyn, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział, 2005.



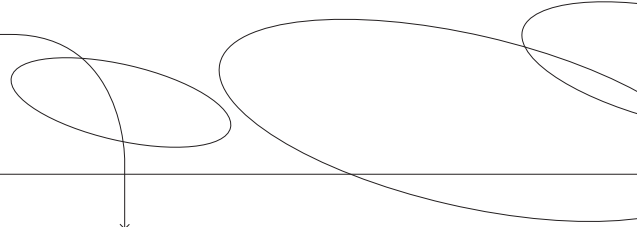
Rys. Jan Przełomieć



Żywy prawie świętych (fragment)

Filip Onichimowski

Wszyscy barmani to pijaki, dziwkarze i złodzieje. Samo ścierwo. Wiem, co mówię. Sam jestem barmanem, a właściwie byłem barmanem, bo chwilowo nie piastuję żadnego stanowiska. Znaczący się chwilowo jestem nikim, ale... to też tak nie do końca. Przecież żyję... Żyję, a przynajmniej wydaje mi się, że żyję i aktualnie figuruję jako przypadek numer 13/43 w rejestrach urokliwego Zakładu Przywracania Użyteczności Społecznej im. Tony'ego Halika. Tutaj prośba – nie pytajcie mnie, gdzie to jest. Nie pytajcie, bo nie wiem. W zasadzie jedyne, co wiem o lokalizacji tego miejsca, to tyle, że znajduje się chyba gdzieś w lesie, bo tyle widać przez okno w moim pokoju. Dużo zieleni, drzew, sosny, świerki, jakieś krzaki, chyba leszczyna. Teoretycznie zwykły swojski las z grzybiarzami, przydrożną tirówką, wąsatym gajowym czy niedoinformowanym o zakończeniu wojny oddziałkiem zgrzybiałych partyzantów, szykujących kolejną zasadzkę na Niemca. Teoretycznie tak jest, ale pod warunkiem, że to, co widzę przez okno, jest prawdziwe i realne, bo jeśli nie, to w efekcie tak nie jest i być nie może. Zdaję sobie sprawę, że mam tu problem. Zdaję też sobie sprawę, że to powątpiewanie w prawdziwość widoku za oknem może się wydawać nieco przesadzone, więc wytłumaczę się. Wybaczcie mi, ale życie nauczyło mnie, że często to, co wydaje się oczywiste i realne, ostatecznie okazuje się jedną, wielką bujdą na resorach. Z pozoru piękny las, może przecież w rzeczywistości okazać się taśmociągami do rzeźni, albo kolejką pod nocnym sklepem i dlatego w każdych okolicznościach należy zachować czujność. Jestem pewien, że sami mieliście setki tego typu sytuacji i świetnie rozumiecie, o co mi chodzi. Ja przynajmniej, do tej pory zbyt wiele razy dałem się już nabrać na podobne sztuczki, a to kończyło się zwykle tragicznie. Dlatego nigdy więcej już nabrać się nie dam. Dlatego też nie ufam temu oknu i widokowi za nim, który jest tak kojący i terapeutycznie pasujący do miejsca, w którym przybywam, że musi być podejrzany. Dlatego pozostanę sceptyczny. Ale dość o tym... pewnych rzeczy na razie nie sprawdzę. W swoim czasie na pewno dowiem się wszystkiego, ale teraz ważne jest to, co już wiem. Wiem zaś jedynie, że w tym dziwnym miejscu mają mnie podobno leczyć z depresji, w celu przywrócenia mnie jako pełnowartościowego obywatela naszemu cudownemu społeczeństwu. Jako pełnowartościowy obywatel, po zakończeniu leczenia i opuszczeniu zakładu, będę mógł założyć szczęśliwą rodzinę, począć dzieci i wychować je potem na kolejnych pełnowartościowych obywateli, o czym z zapalem i śmiesznym akcentem zapewnił mnie mój lekarz prowadzący i zarazem dyrektor całego zakładu. Ciekawy gość, ale o nim za chwilę. Najpierw chciałbym wrócić do kwestii barmanów...



Wspomniałem już, że to pijaki, dziwkarze i złodzieje? Tak? To do brze, bo to stuprocentowa prawda. Samo ścierwo. Jeżeli ktoś w tej chwili się obrusza i mówi mi, że zna barmana, u którego któraś z tych cech nie występuje, to odpowiadam od razu – oczywiście, że jest to możliwe! Powiedziałbym, że nawet bardzo prawdopodobne, bo wspomniane przeze mnie naczelnne cechy barmanów, występują u poszczególnych egzemplarzy w różnym natężeniu. Brzmi odrobinę niejasno? To proste jak drut. Gość może nie być ostatnim moczymordą, ale założę się, że na babki jest łasy jak dzik na żołędzie, albo kręci wały. Nie ma opcji, żeby było inaczej. Skąd to wiem? Stąd, że goście pozbawieni takich cech zupełnie nie nadają się na barmanów. Bez którejś z tych skaz nie ma szans, żeby się jakoś odnaleźć w tej robocie i nie zwariować po paru miesiącach. Są tylko dwa wyjścia. Albo masz to w sobie na start, co od początku rokuje ci, że zostaniesz przyzwoitym barmanem. Albo to w sobie szybko obudzisz – bo jeśli nie, to koniec... Parę miesięcy pracy i rozstrój psychiczny oznaczają, że jedynie pracowałeś za barem, ale barmanem nie byłeś nigdy. Jesteś tylko pomniejszym leszczem barowym, mięczakiem, niedojdą i gamoniem. Nie nadajesz się nawet na bufetowego. Nawet kelnerzyny z ciebie nie będzie. A wiesz dlaczego? Bo prawdziwy barman musi być jak skała. Jak grzyb na ścianie. Jak wirus opryszczki. On musi być jak karaluch i buddyjski mistrz zen. Nie do wytępienia. Nie do zajezdzenia. Nie do zamęczenia. A żeby takim być, musisz mieć w sobie albo pijaka, albo dziwkarza, albo złodzieja, bo inaczej po prostu w tej pracy nie wytrzymasz. Nie wytrzymasz, bo nie będzie w niej dla ciebie nic, co wynagrodziłoby ci permanentne zmęczenie, żenujące zarobki, nerwy, stresy i upokorzenia, jakie przyjdzie ci znosić w tej parszywej robocie. Dlatego jeśli kiedykolwiek wpadł ci do głowy pomysł, by zostać barmanem, podejdź teraz do lustra i popatrz uważnie na siebie. Patrzący? I co widzisz? Zresztą nieważne. Powiem ci od razu. Jeżeli widzisz tam miłego, sympatycznego, kulturalnego, uczciwego i pracowitego faceta, który lubi sobie porozmawiać z ludźmi i posłuchać ich problemów, to odejdź od lustra, stań przed betonową ścianą i tak długo wal w nią teraz czołem, aż zapomnisz o tym, że kiedykolwiek wpadłeś na tak głupi pomysł, żeby pracować w barze! Wal, ile siły, wal aż do krwi, a zapewniam cię, że i tak mi potem podziękujesz. Potem, jak się już ogarniesz po tym waleniu, to wpadnij czasem do baru z koleżkami na piwko. Zaprosz koleżankę na jakiegoś drinka. Pogadaj z ludźmi o muzyce, o polityce, czy o pogodzie, ale nigdy więcej nie waż się nawet pomyśleć o tym, by przejść na drugą stronę kontuaru. Bo druga strona nie jest dla ciebie, gamoniu. Bo druga strona cię zniszczy. Bo po drugiej stronie będziesz się męczył szybko i boleśnie, aż polegiesz załośnie. A wiesz dlaczego, gamoniu? Bo jesteś słaby.



Dalej stoisz przed lustrem? Niech zgadnę. Masz diabła w oczach. Kochasz balangi wszelkiego rodzaju. Masz twarde łeb, a twoja odporność na alkohol budzi uznanie i szacunek. Twoja odporność na ludzi też. Nie wzruszają cię za bardzo ich problemy życiowe. Nie próbujesz zbawiać świata i ratować każdego, kto na twoich oczach wpada w tarapaty. W każdej chwili potrafisz się w sekundę wyłączyć, żeby nie słyszeć czyjegoś zanudzenia i nie masz przy tym żadnych wyrzutów sumienia. Z drugiej strony, masz ostry język i lubisz dokopywać innym. Ot tak. Bez wyraźnego powodu. Dla zabawy, a w porywach nawet dla igraszki... Płeć przeciwna, odkąd pamiętasz, ma do ciebie słabość. Zwykle wykorzystujesz ją na różne sposoby, bo jest w tobie coś, co otumania innych ludzi. Tak? No to brawo. Niezły z ciebie kawał drania. A jeżeli masz do tego trochę dobrego poczucia humoru, będziesz świetnym barmanem. Tak jest, tygrysie. Druga strona kusiła cię od zawsze. Ta aura, ten magnetyzm tego miejsca działają na ciebie jak narkotyk na starego ćpuna. Jak kocimiętka na obdarzonego przerośniętymi jajami i apetytem na życie kocura. Sam widok beczek, butelek, nalewaków i barowego szkła sprawiają, że czujesz się bosko. Dlatego, tygrysie, będziesz królem tego miejsca. Będziesz jego niekwestionowanym panem i władcą. Druga strona będzie ci hojnie serwowała wszystkie możliwe przyjemności, a ty będziesz z nich korzystał, ile wlezie. Będziesz brał pełnymi garściami. Będziesz żarł, pchał to w siebie, aż w końcu zrzygasz się tym wszystkim i znienawidzisz drugą stronę. A to będzie bolesny dzień. Rozbity, zagubiony i zupełnie sam będziesz musiał wtedy dokonać wyboru. Odejść lub zostać. Jeśli odejdiesz – pewnie ocalejesz. Lekko okaleczony, ale jakoś przetrwasz. Rany się powoli zabliznią. Ręce przestaną trząść. Stopniowo wrócisz do normalnego życia od godziny A do godziny B. Jeśli jednak zostaniesz, to teoretycznie może być różnie. Z pozoru może potoczyć się to tak, bądź inaczej. Z pozoru, bo chociaż może to potrwać dłużej lub krócej, to jednak w końcu to, co nieuniknione, stanie się. Druga strona w końcu cię zniszczy. Bo jako człowiek jesteś słaby, tygrysie. Bo na nią nie ma mocnych. Są ci nie do wytępienia, nie do zajeżdżenia i nie do zamęczenia. Są i ci rzeczywiście żyją dłużej, ale wieczność w barach nie występuje. Nawet tych najlepszych i najdroższych. Jak mocno byś jej tam nie szukał, zawsze pozostanie tylko poczucie pustki. Poczucie pustki i zmarnowanej chwili, które pojawi się grubo za późno.

Ewelina Zdancewicz

* * *

Obiecałeś nie patrzeć
na czarne wskazówki zegara
szepczące ile czasu
musimy ze sobą spędzić
patrzemy na siebie nierównomiernie
z pozycji podłogi do wysokości
fotela

Gdy zostaję sama
chodzę
zapalam światła żeby lepiej widzieć
jak bardzo się boję
pustych ścian i nagich parapetów
jak bardzo mówię by słyszeć
cokolwiek
własny
głos
odbity od szyby
układam świat przesuwając książki
pomiędzy ręką a nicością
dialog toczy się
między

* * *

Pozwalam sobie na ostrożny optymizm
warunkujący nastrój lub nastrojem gładko sterujący
pomiędzy już a jeszcze
wkrađło się milczenie
rozwlekło się na zegarze odmierzając
godziny sekundy i zapachy pozostawione
przez bywalców stałych i przechodnich tego pokoju
z którego
tak cicho wyszliśmy
i w którym
tak głośno nas nie było

Ewelina Zdancewicz – urodzona w Olsztynie, uczennica drugiej klasy LO VI.

Członkini Klubu Literackiego Młodych przy Miejskim Ośrodku Kultury, prowadzonego od 1986 roku przez Iwonę Łazicką-Pawlak.

Prezentowane wiersze to debiut prasowy Eweliny Zdancewicz.



Mirosław Smerek

Komponował kolorem i formą

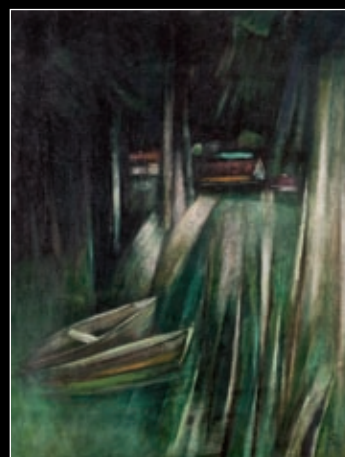
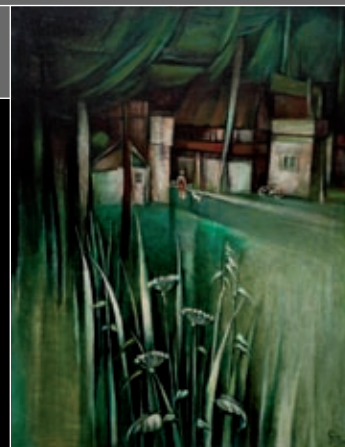
Każdy artysta malarz marzy o jednym, aby jego kreska, plama farby pozostawiona przez pędzel, utrwalone na płótnie kształty, cała forma dzieła była jednoznacznie autorsko rozpoznawalna. Nad tym czasem bardzo znani malarze pracowali latami. Technika malowania to jakby sprawa jedna, ale jak łączyć ją z tematyką dzieła. Mirosław Smerek malował portrety, także ikony, zdobiące kościoły greckokatolickiego wyznania, ale rozpoznawalny jest przede wszystkim w pejzażu. I to nie w jakimś egzotycznym, ale klasycznym wiejskim, pełnym charakterystycznych rekwizytów. Są to drewniane domy, zwierzęta, sprzęt gospodarski i rolniczy, ludzie są tu jakby na okrasę, mało eksponowani i bardzo anonimowi. Ta wieś jest jakby z naszych warmińsko-mazurskich stron, ale także z minionej epoki, obrazu zastygłego w pamięci artysty, związanego z rodzinnymi stronami. I drugi motyw malarski, to pejzaże fascynujące wizją piękna lasów, jezior, przestrzeni pól, nieba.

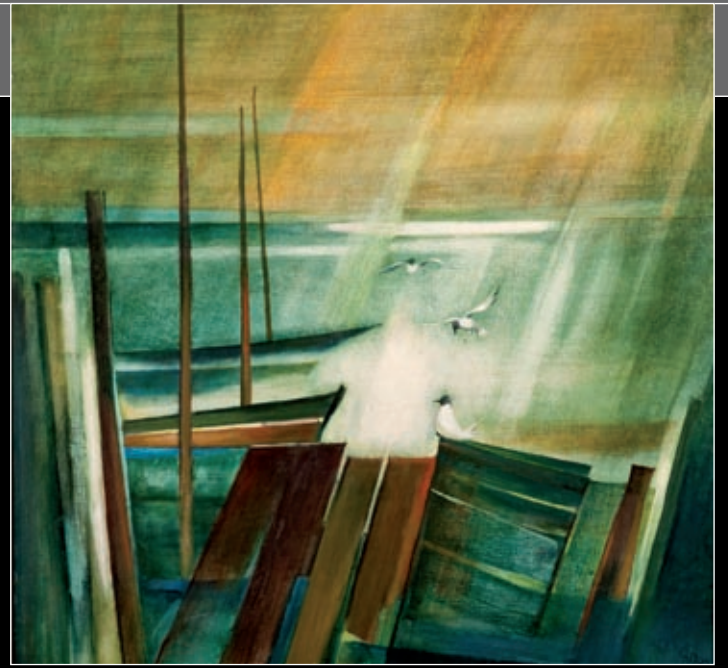
...Krzysztyna Kozięłło-Poklewska napisała: „Komponował kolorem i formą. Malarstwo jego wyrosło z tradycji postimpresjonistycznej i polskiego koloryzmu. Był bowiem wrażliwym kolorystą, operującym żywymi rozświetlonymi przejściami barwnymi. Ważną rolę w jego twórczości odgrywają kolor i światło. Nie tylko odtwarzają rzeczywistość, ale tworzą ją od nowa”.

Mirosław Smerek dość szybko wypracował swój indywidualny styl malowania. Widać to, konfrontując jego obrazy olejne i akwarele sprzed lat z tymi malowanymi w latach dziewięćdziesiątych. Na wystawach zbiorowych i retrospektywnych pełnych dzieł innych malarzy, obrazy Smerka rozpoznać można z daleka. W akwarelach są to wspaniale zakomponowane plamy, określające konkretne kształty i podjętą tematykę, one się nie rozlewają, ale są wyraźnie podporządkowane artyście. Tak ma być, jak on sobie tego życzy. Oleje trzymają się w podobnej Smerkowej dyscyplinie pociągnięć pędzla. Nanoszona na płótno wizja jest przejrzysta, kolorystyczne tonacje opanowane. Jak świeci Księżyc – to tyle mamy światła, ile daje on nocą, kiedy jest pochmurno – to widać tyle, ile widać o takiej porze. Jest w tym wszystkim trochę bajkowości, wizji, poetyckiej refleksji. Może, gdyby artysta nie został malarzem, byłby poetą?

Vita brevis, ars longa

Życie jest krótkie, sztuka długotrwała – owa ponadczasowa sentencja, zachowana według przekładu rzymskiego poety i filozofa Seneki, zmusza do pokory wobec wieczności i tego, co za życia każdy artysta powinien dokonać w formie dzieła. Mirosław Smerek opuścił nas właściwie niespodziewanie, chociaż chorował – ale kto o tym wiedział, że sprawa jest tak poważna. Miał 60 lat i znajdował się w pełni sił twórczych. Po artyście pozostało jednak dzieło, z którym nasz kontakt będzie zawsze swego rodzaju mistycznym kontaktem z jego twórcą. To jest właśnie siła prawdziwej sztuki, jej trwania. Na przykład, ilekroć przechodzę obok kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Ostrobramskiej w Olsztynie i widzę, stojący obok niego, strzelisty wielometrowy krzyż, wiem, że to też dzieło Mirka. Ten krzyż to najważniejszy element ołtarza polowego, pod którym w 1991 roku, podczas pielgrzymki na Warmię, mszę św. odprawiał Jan Paweł II. Ołtarz powstał według wspólnego projektu Mirosława Smerka, Artura Nichthausera i Tadeusza Wójcika.







Jak Emilia baśnie zbierała

W czasach, gdy świat nie słyszał jeszcze o żadnej z wojen światowych, a automobil na drogach rozpoczął nieśmiało swoją karierę, wiele kobiet, pragnących zdobyć wykształcenie i zawód, musiało realizować ów zamiar z wysiłkiem porównywalnym przynajmniej do oddychania w ciasnym gorsecie. Na taki czas przypadła młodość pewnej panny, która, choć z zamożnej rodziny, nie poprzestała na wygodach mieszczańskiego życia. Zafascynowana przyrodą, krajobrazem i kulturą, rozpoczęła ciekawą, a w przyszłości nawet niebezpieczną, przygodę badacza i naukowca. Niczym Indiana Jones w spódnicy z uporem rozwijała swoje pasje, podróżując po świecie, zbierając skarby, zarażając spotkanych na swojej drodze ludzi miłością do rzeczy ważnych i pięknych.

Emilia Zachert, jak każda szanująca się młoda dziewczyna, która cały rok sumiennie uczyła się na pensji, w czasie wakacji wyjeżdżała w podróż. Celem jej pierwszych wypraw były studia nad dziejami zamków w Ojcowie, Pieskowej Skale i w Korzni, którymi zainteresowała ją Julia Terpiłowska – nauczycielka i poetka, niezwykle życzliwa dla pierwszych prób pisarskich młodej uczennicy. Właśnie wtedy Zachertówna skierowała swoje zainteresowania na folklor i rozpoczęła spisywanie podań, legend i klechd ludowych. Odwiedzała chłopskie chałupy, zbierała opowieści, które następnie konfrontowała z przekazami historycznymi. Owocem tych wędrówek stały się tomiki „Zamki nad Prądnikiem” i „Legendy nadprądnikowe”, wydane w Warszawie w latach 20-tych XX wieku, choć szkice te autorka prezentowała już w 1909 r. na odczytach. Swoją pasję etnografa postanowiła rozwijać dalej jako członek Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Ten krok umożliwił jej w przyszłości zawiązanie Koła Krajoznawczego również na Mazurach. A że miała dar sprawnego i – co ważniejsze – skutecznego organizowania spraw trudnych, z pozoru skazanych na porażkę, wzorem pozytywistycznych ideałów gromadziła wokół siebie robotników i ich dzieci oraz dziewczęta, pracujące w szwalniach lub sklepach, by uczyć je historii polskiej i „ukochania rodzimej kultury ludowej”.

Emilia nie zaprzestała swoich studiów i pracy społecznej, nawet będąc stateczną mężatką bogatego jubilera. Już jako Pani Sukert i matka dwóch córek śledziła sprawy Warmiaków i Mazurów w czasie plebiscytów. Szczególnie bliskie były jej problemy Działdowszczyzny. To tu, natykając się w czasie wędrówek po powiecie na pamiętki dawnej i współczesnej mazurskiej kultury ludowej, a także zabytki archeologiczne, pieczołowicie gromadziła je we własnym mieszkaniu. Znalezione na polach i drogach, a także odkryte w chatkach i zagrodach, przedmioty stały się nie tylko zaczątkiem przyszłego muzeum, ale przede wszystkim rozbudziły w niej nową pasję historyczno-archeologiczną. Dawne dzieje ziemi mazurskiej, sięgające czasów pogańskich, znalazły swoje odbicie w legendach i baśniach pisarki. Stąd w nich wiele tajemniczych skarbów, zakopanych w ziemi, i „złotych gór”, jak te pod Niborkiem czy w Łupowie. Opowieści snują się wokół pruskich grodzisk i cmentarzysk, a czasem mówią o świętych dębach czy bogu Perkunie. Pieczołowicie spisywane i opracowane podania ukazały się w druku po raz pierwszy w 1923 r. na łamach „Gazety Mazurskiej”, której redaktorem była właśnie Emilia Sukertowa.

Anita Romulewicz

zbierała

Z czasem legendy i pieśni ludowe zaczęły trafiać również na łamy cennego przez ludność rodzimą „Kalendarza dla Mazurów”. Te i inne artykuły oraz opowiadania, świadczące o „polskości Mazur i Warmii”, autorka sukcesywnie i z dużą determinacją ogłaszała przez kolejne lata w prasie i czasopiśmie polskich i zagranicznych.

Pod koniec lat 20-tych, gdy sprawy społeczne, polityczne i narodowościowe na Warmii i Mazurach coraz bardziej komplikowały się, a nad dziedzictwem kulturowym tych ziem zawisła groźba wojennych zniszczeń, grupa zaangażowanych patriotów podjęła starania o ocalenie ich dla przyszłych pokoleń. Wśród nich znalazła się także Pani Emilia, która nie tylko włączyła się do działań kulturalnych, ale zainicjowała wiele nowych przedsięwzięć, w których „w przemyślany sposób dążyła do wykazania jedności kultury mazurskiej z ogólnopolską, nie ukrywając jej odrębności regionalnej”. Organizując wspólnie ze swoim drugim mężem, Józefem Biedrawą, działdowskie szkolnictwo i muzeum, chodziła po mazurskich wsiach, jak niegdyś po dolinie Prądnika, i gromadziła obok starych sprzętów pieśni oraz legendy. Zachowały się w nich przekazy o pięknie Puszczy Piskiej i urokliwych jeziorach Tałty, Szeląg czy Leleskim, a wiele z nich mówi o diablach i choboldach, które wnikliwemu słuchaczowi zdradzić mogą niejedną tajemnicę.

Hieronim Skurpski, Mazur i malarz olsztyński, będąc młodym człowiekiem, mógł przyglądać się pracy Emilii Biedrawiny. Wspominał z dumą zachowany przez nią obraz znikających obyczajów i zwyczajów świątecznych, wierzeń i gwary, jako „tej przeszłości mazurskiej niekartowanej”. Są w nich bowiem ślady historii polskiej – od jagiellowych opowieści zwycięskich i tych o duszy mazurskiej w niewoli „Złego” po bajki o szewcach-Mazurach, co z niemieckiej mowy złej królowej nic nie rozumieją. Wiele wśród nich autentycznych zapisów o miejscach rodzinnych, jak Góra Konopki koło Węgorzewa czy Mikołajki, „co to nie bajki”.

Emilia Sukertowa-Biedrawina, zapamiętana przez innych jako dama niezwykle aktywna i zaangażowana w sprawy mazurskie oraz warmińskie, wiele uwagi w swoim bogatym życiu poświęciła dziejom polskiego piśmiennictwa na Mazurach. Najwięcej pracy jednak włożyła w upowszechnianie bajek, legend i podań mazurskich, wierzeń i obyczajów Mazurów. Opracowane literacko zapisy ludowe wydawane były regularnie na łamach prasy, a od lat 50-tych w zbiorach regionalnych bajek i legend, m.in. w *Kiermaszu bajek* i *Nowym kiermaszu bajek*. W 1936 r. opublikowała również szkic pt. *Diabeł na Mazurach w bajkach i podaniach*. W 1994 r. nakładem Ośrodka Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie ukazał się wybór bajek mazurskich, zgromadzonych przez Emilię Sukertową, zatytułowany *Jak Konopka diabła wypędzał* w opracowaniu Tadeusza Orackiego.

21 grudnia 2010 r., z okazji czterdziestej rocznicy śmierci Emilii Sukertowej-Biedrawiny, w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie zostanie odsłonięta tablica poświęcona patronce. Autorką płaskorzeźby jest olsztyńska rzeźbiarka – Urszula Szymt.

Artiom Bologov Z Rosją do ludzi

Olsztyńskie Stowarzyszenie
„Mała Rosja”

W województwie warmińsko-mazurskim co dziesiąty mieszkaniec ma pochodzenie inne niż polskie – niemieckie, ukraińskie. Żyją tu Żydzi i Romowie. Część rdzennych mieszkańców tych ziem nazywa siebie po prostu Warmiakami i Mazurami. Ta różnorodność wynika ze splątanej historii regionu. Wśród tych mniejszości narodowych i etnicznych jest również mniejszość rosyjska, młoda, bo większość jej członków to emigranci z lat dziewięćdziesiątych, czyli tzw. Nowa Fala Emigracji.

Podobnie jak wielu moich rodaków, przyjechałem tu w latach dziewięćdziesiątych. Tu skończyłem studia, ożeniłem się i założyłem firmę. Jednak wciąż brakowało mi kontaktu ze „swoimi”, życia we wspólnocie. Dlatego w lipcu 2008 r. zainicjowałem powstanie Stowarzyszenia „Mała Rosja”, skupiającego Rosjan i Polaków rosyjskiego pochodzenia, żyjących w Olsztynie, żeby nasza mniejszość utrzymywała kontakt ze sobą i z rosyjską kulturą.

Ale nie tylko w podtrzymywaniu kontaktów z Rosją widzimy cel naszej organizacji. Stowarzyszenie „Mała Rosja” istnieje przede wszystkim po to, by zapoznawać mieszkańców Olsztyna z naszą kulturą. Są w mieście stowarzyszenia i organizacje, które współpracują z Obwodem Kaliningradzkim, ale wciąż brakowało działań od strony naszej mniejszości, która jest przecież bezpośrednim źródłem informacji o Rosji i kulturze rosyjskiej.

Naszą działalność rozpoczęliśmy od wydawania miesięcznika „Sąsiedzi”. To pismo dwujęzyczne, wydawane w kolorowej szacie graficznej, w którym znajdowały się zarówno informacje dla członków mniejszości (np. porady prawne), jak również teksty poświęcone rosyjskiej kulturze i życiu we współczesnej Rosji. W roku 2009 ukazało się pięć numerów pisma i mamy nadzieję, że w przyszłości będziemy mogli kontynuować wydawanie „Sąsiadów”.

W życiu kulturalnym Olsztyna „Mała Rosja” zaistniała jako organizator przeglądów filmowych w kinie „Awangarda”. Chcemy w ten sposób zapoznać mieszkańców Olsztyna z historią kinematografii radzieckiej, pokazać, jak się budowała kultura kina dzisiejszej Rosji, jakie były jej fundamenty. Zaczęliśmy od kina niemego z podkładem muzycznym na żywo – ten pierwszy przegląd odbył się w październiku 2009 r. Wśród prezentowanych filmów były gwiazdy z najwyższej półki, jeśli chodzi o reżyserów i operatorów z lat dwudziestych – na przykład film *Człowiek z kamerą*, pierwszy tak awangardowy film na świecie. Ten obraz to majstersztyk, który do tej pory jest obowiązkową „lekturą” reżyserów.

Sukces tego przeglądu przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania, dlatego zorganizowaliśmy następne. W maju tego roku odbył się pokaz kreskówek z cyklu *Wilki i zając*, na który przyszły całe rodziny.



W przerwie pokazu dzieci uczestniczyły w warsztatach plastycznych, był też konkurs na najlepszy rysunek Wilka i Zająca, oczywiście z nagrodami. Zaskakujące były również komentarze dzieci podczas filmu, które dowodziły, jak żywo dzieci reagują na te filmy, choć można by pomyśleć, że tak stara bajka już nie robi wrażenia na dzieciach wychowanych na grach komputerowych.

Trzecim minifestiwalem filmowym zorganizowanym przez „Małą Rosję” były Dni Komедии Radzieckiej, które odbyły się 23 i 24 października tego roku. Widzowie mogli obejrzeć komedie *Wolga*, *Wolga* oraz *Świat się śmieje*.

Ale Rosja to również wielka literatura, pisarze tacy, jak Tolstoj, Lermontow, Gogol i Puszkina. W grudniu 2009 r. w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie zorganizowaliśmy Dni Gogola, podczas których prezentowano wystawę rysunków do książek Gogola, wypożyczonych z Rosyjskiego Ośrodka Nauki i Kultury w Warszawie. Podczas otwarcia wystawy wystąpiła Iwona Ndiaye z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, która przygotowała wspaniałą prelekcję na temat Gogola. W przyszłości „Mała Rosja” chciałaby również wydawać współczesnych autorów rosyjskich, zupełnie nieznanych w Polsce.

Nasze Stowarzyszenie stara się także wspierać swoją wiedzą inne organizacje mniejszościowe. Właśnie zrealizowaliśmy poważny projekt sfinansowany przez Fundację Inicjatyw Obywatelskich. W ramach tego projektu przeprowadziliśmy cykl szkoleń dla olsztyńskiej mniejszości niemieckiej, ukraińskiej i romskiej w zakresie przygotowania i przeprowadzania projektów unijnych. Zorganizowaliśmy również cotygodniowe bezpłatne porady prawne, z których chętnie korzystali członkowie mniejszości olsztyńskich.

Cały czas się uczymy i rozwijamy. Jesteśmy mniejszością młodą, ale i energiczną.

Oprac. Sylwia Bialecka



Anioł i róże

Po raz któryś trwoźnie dotykasz swoich palców. Rozprostowujesz je i zginasz. Zginasz i rozprostowujesz.... Kolejny raz wydobywasz z futerału bezcenny instrument. Dotykasz go z obawą, że ciepło emitowane przez opuszki twych palców zamieni go w proch. Od wielu dni boisz się tak kochanego pierwszego pociągnięcia smyczkiem, zapowiadającego nieskończenie egzaltowany koncert.

Zdecydowanie pchniesz drzwi. Dokładnie pamiętasz, ile odkryłeś na sobie siwiejących włosów, nim zdecydowałeś się na ten gest... Wiesz, że idziesz po wyrok, po niezający litości werdykt bliźniego, którego nauczano cię kochać. Dziś jego słowa zdecydują o twym losie, którego na próżno szukałeś w liniach papilarnych rąk. Ten człowiek też oznajmi, czy schody w twoim domu zaskrzypią jeszcze śmiechem pod śmiejącymi się butami. Czy będziesz miał nadal odwagę w duszącym cię zgielku płodzić symfonię...

W bezsensie twego życia tylko one potrafiły znaleźć ci motywację, usprawiedliwić obecność we wszechświecie. To był anioł o imieniu Pygar.

Przywoływałeś go często do siebie, kiedy w miotaniu się twoim nikt inny nie chciał lub nie mógł ci pomóc. Łopot skrzydeł anioła Pygara trzymał cię w wierze, której powierzyłeś wszystko, co było w tobie najlepsze. Bez anioła nie mogłeś istnieć. Komórki twych decyzji były niepodzielne. Gdy niegdyś dano ci wybierać, wybrałeś kilka chropawych strun, a one, dojrzewając w widmie budzącego się dnia, wrosły w ciebie, stają się jeszcze jednym twym organem. Wtedy po raz pierwszy w życiu zostałeś sam z aniołem, ale ta świadomość sprawiała, że czułeś się bezpieczny.

Wśród powodzi słów bliźniego w bieli twój mózg odcodził tylko kilka. One utopiły się gdzieś w tobie i szamotanie się z nimi nie miałyby już sensu. Zdążyłeś jeszcze zapamiętać cichy skowyt swego wnętrza, jakby porażonego życzeniami wszystkich wrogów. Słowa tego człowieka przelewały się w tobie, tłukąc i dudniąc. Uderzało o najbardziej czule miejsca twego wrażliwego wnętrza. Szemrałeś je bezdźwięcznie, nie mogąc zrozumieć ich znaczenia. Szukałeś ulgi i nagle wydało ci się, że wystarczy to, co tak przelewa się w tobie, zwymiotować w najbliższej stojące kubły, ale były pełne. Rechotały tercjami twojej muzyki, profanowały ją. W bezsilności pobiegłeś do schodów, by szukać tam swego anioła Pygara. Jednak wbiegając schodami, nie słyszałeś radosnych skrzypnięć i podrygiwań, jakimi one cię zawsze witały. Teraz były milczące, ledwie odbijały tętent kroków. Wyzute z ciebie, bez zapachu, niczyje...

Zastygłeś nieruchomo, bo nagle wydało ci się, że na firmamencie nieba Dwie Wielkie Róże Pierwszego Dnia Zachwytu upuściły w grymasie cztery łzy, a subtelne łodygi ich ciał nagle zdrzały, nachylając się do ciebie. Z oddali dobiegło trzepotanie skrzydeł, na ten dźwięk jedna z Róż Pierwszego Dnia Zachwytu zamazała swój obraz i rozplynęła się w błękanie.

Smyczek pełza wolno:

Masz dwanaście lat. Kąpiesz się w strumieniu, upajając się nagością swego młodego ciała. Po raz pierwszy czynisz to świadomie. Jeszcze nie potrafiąc definiować swojej czystości, drżysz, podpatrując ukradkiem kąpiące się nagie dziewczyny. Sycisz wzrok, patrząc na ich sterczące sutki małych piersi. Brakuje ci oddechu, gdy przesuwasz oczy na wklęsnięcie opalonych, szczupłych podbrzuszy...

Smyczek płynie równomiernie:

Często imaginowałeś. Sam sobie stwarzałeś na jawie i we śnie przyjemne sytuacje i zdarzenia, których tak naprawdę prawie nigdy nie było. Twoja wyobraźnia pomagała ci przetrwać częste chwile zwątpienia, panować nad owym syndromem choroby sieroczej, którym los cię pokarał. Instynktownie uczyłeś się walczyć z kompleksami odrzucenia, niższości i straszliwym poczuciem samotności. Idąc ulicą, niemal wielbiłeś główki mijanych i roześmianych dzieciaków. Pragnąłeś mówić coś do nich. Może tłumaczyć zawilość rodzących się drzew albo mechanizm unoszenia się rozradowanego motyla... Dziecko o jasnych włosach i oczach niebieskich! Bóg jeden wie, jak bardzo pragnąłeś mieć swoje! W wyobraźni nakrywałeś je w nocy rozkopane, błogo śpiące, kopiowane z obrazu Wyspiańskiego...

Smyczek miota się:

W pachnących ciałach kobiet przeżywasz to, co czasami nazywasz ucieczką lub oddaleniem. Oplątany płowymi włosami kradniesz życiu piękno. Wchłaniasz je wyolbrzymionymi przez ciebie kęsami. W końcu dławisz się, prosząc o więcej. Wciągnięty w paradoks łóżkowych schematów wspominasz tamten strumień, tamte nagie, dziewczęce ciała. W perwersji szukasz usprawiedliwienia, ztracając poczucie wstydu i grzechu, ale regres niezadowolonia tylko pogłębiał się coraz to bardziej. Odtąd przestałeś cenić wartości, autorytety i uczone księgi. W jednej osobie stałeś się dla siebie Mesjaszem i jego wyznawcą. Zdawało ci się, że wystarczy odrzucić krępujące idee, a wtedy cały narodziś się po raz wtóry, stając się czystym i nowym...

Szybko zrozumiałeś swoją porażkę. Może w chwili, gdy nagle Chleb stał się tylko zwykłym kamieniem, a Woda tylko cuchnącym płynem kałuży. Twój spontaniczny śmiech – wymuszonym naprędcę grymasem. Twoje serdeczne słowa – kabotyńskim popisem, pożal się Boże – erudyty.

To anioł Pygar sprawił, że w końcu udało ci się wrócić do dawnego siebie. Lecz nigdzie już nie spotkałeś Róż Pierwszego Dnia Zachwytu. Była tylko cisza, jakiej dotąd nie znałeś. Bezdźwięk oczekiwania nowego, niczym chłód zatopionego kościoła. Tylko nagłym gestem lub krzykiem mogłeś ją przerwać, ale ciało i usta pozostawały nieruchome. Odczekałeś więc i wydało ci się, że promień słońca, który przedarł się przez witeł okna, uczynił to samo. On także czekał na coś, czego zdefiniować nie umiałeś, a ogromny pajak uwieszony wysoko znieruchomiał i patrzył na ciebie...

- Aniele Pygarze! – siła twego krzyku zdumiała cię, bo skąd znalazłeś w sobie tyle mocy przelanej w głos dzwonny?

- Pygarze! Tak długo karmiłeś mnie dobrem swoim i stałeś się jedynym mym opiekunem i stróżem! Czemu teraz odwracasz głowę, wiedząc, że cię potrzebuję? Proszę, zwróć mi Różę Pierwszego Dnia Zachwytu!

Anioł nie wydawał się wzruszony. Patrzył i tylko w jego oczach można było dostrzec mgłę. Nie wiadomo, z łez powstała, czy z głębokiej zadumy.

- Aniele! – krzyczałeś. – Odebrano własność moim dłoniom! Wydarto mi możliwość poruszania rękami! Patrz, trzepocą tylko nieruchome i martwe! Jak teraz tworzyć będę? W jaki sposób przywołam ciebie ogniem strun moich skrzypiec, kiedy ręce już nie takie i nie moje? Jeśli nie mogę być panem dłoni swych – niech umrę! Spraw, by mnie nie było! Czymże staje się człowiek, kiedy odbierają mu nogi i ręce człowiecze? Zobacz, Pygarze! Mój instrument łzami brzemienno skomli o dźwięk najcichszy, a ja pełen niemocy nie mogę go użyć! Spraw więc, aniele, bym przestał istnieć!

Resztką świadomości zarejestrowałeś ulatujące w przepastną dal własne ciało. Nie czuleś bólu, bo w miejscu, gdzie upadłeś, wytrysło nagle morze kwiatów, one swoją miękkością podtrzymały cię, owionęły sobą, uniosły. Znalazłeś się w nierealnym świecie, bez odrobiny ziemskości. Były tu Róże Pierwszego Dnia Zachwytu i był Anioł Pygar, inny nieco, niż widywałeś go przedtem. Z pogod-



ną twarzą wydawał się kimś nierealnym i pięknym. Zbliżał się ku tobie, a ty poczułeś dreszcz wzruszenia, pojawiając się, że odtąd świat sprzyja ci i chyli się przed tobą. Wypełniłeś się całym tym pięknem. Uspokojony, pogodzony i ufny. I tak trwałeś w tym półśnie, nie bojąc się już świtów i zmroków, zaćmień słońca i deszczów. Może już spałeś, a może jeszcze czuwałeś. Chociaż tak naprawdę i do końca tego nie wiem...



Jan Przelomiec

Red.V.: Kto był dla Pana autorytetem artystycznym? Kto nauczył Pana malować?

JP: Duży wpływ na mnie wywarł Paul Cézanne. Wśród moich nauczycieli byli: Zbigniew Pronaszko, Czesław Rzepiński i Jacek Janicki. Poza tym Hanna Cybisowa. Czyli postkoloryści. To byli dobrzy malarze, ich malarstwo podobało mi się i na pewno w jakiś sposób wpłynęło na moją twórczość. Nie zasadniczo, ale wpłynęło.

Przed wojną u mnie w domu był kult Matejki, Chełmońskiego, malarstwa realistycznego, związanego tematycznie z Polską. Poza tym chodziłem do gimnazjum, które o sto metrów było oddalone od Zachęty. Tam przed wojną królowała *Bitwa pod Grunwaldem* Matejki, poza tym były obrazy z pierwszej poł. XIX w. autorstwa klasycyzujących realistów polskich. I nas często tam prowadzono, bo to było dosłownie o krok. Pamiętam moje wrażenia – że to tak trudno zrobić... Ale to nie dawało mi żadnej przyjemności tego rodzaju, jaką się ma, gdy się słucha pięknej muzyki. Jednym słowem, to nie dawało mi żadnych przeżyć artystycznych, a tylko podziw, „że tak trudno to zrobić”. Pierwszy raz zetknąłem się ze sztuką prawdziwą, taką sztuką, która rozwiązuje takie problemy, które każdy obraz powinien rozwiązywać – w Warszawie, w antykwariacie. Tam na wystawie stała monografia Cézanne'a – album otwarty, a tam kolorowa reprodukcja jakiejś alei drzew. I wtedy olśnienie – to mi daje przyjemność! To mi daje przyjemność podobną do słuchania dobrej muzyki. To jest sztuka! Na tym sztuka polega. Później to postępowo, jedno po drugim starałem się poznać takie malarstwo – głównie to z drugiej poł. XIX w., francuskie, które jest mi najbardziej bliskie. A tym, które mi się najbardziej podobało, było malarstwo impresjonistów. Impresjoniści to ludzie, którzy chwyтали moment, światło, i starali się je przekazać, zachować. Tamci starzy malarze malowali tak, że to dzieło dojrzało, pod względem psychicznym i fizycznym, jako przedmiot. Ja też bym chciał, żeby mój obraz był pięknym przedmiotem. To jest chyba najważniejsza rzecz, którą chciałem osiągnąć.

RV: Czy miejsce, w którym Pan przebywa wpływa, na Pana twórczość?

JP: Bardzo, dlatego, że ja jestem wrażeniowcem i bardzo mocno odbieram to, co mnie otacza. Pejzaż, atmosfera, również intelektualna, powietrze, wszystko to wpływa na to, co maluję. Myślę, że tak zawsze było, z każdym malarzem – na przykład zupełnie różni się malarstwo weneckie od florenckiego. To właśnie same miejsca wpłynęły na to, że miejscowi malarze malowali tak, a nie inaczej. To widać nawet i w malarstwie polskim...

RV: A czy jest jakieś miejsce, w którym wyjątkowo dobrze się Panu malowało?

JP: W Krakowie mi się dobrze malowało, w Jarosławiu... W Olsztynie mi się też nieźle maluje, bo jest kolorowy. To znaczy, jest w tych miejscach kolor w powietrzu, a to bardzo ważne. Jest wspaniały kolor w Wenecji, taki zupełnie specyficzny, dlatego malarstwo weneckie jest tak bardzo radosne. Ci malarze cieszyli się życiem i cieszyli się pięknem. Natomiast we Florencji malarstwo jest bardziej refleksyjne, za to Holendrzy mieli fantastyczny koloryt pejzażu. Byłem przez miesiąc

w Holandii i świetnie mi się malowało – również w Anglii, gdzie też jest dobry koloryt w powietrzu. Fatalny jest w Lublinie, tam w ogóle nie ma koloru, ale brud, beznadziejny brud w powietrzu. Tam nie może powstać żadne dobre malarstwo, niestety przez dziesięć lat tam mieszkaliśmy i w ogóle niczego nie potrafiłem zrobić.

RV: Jak by Pan określił swoje malarstwo?

JP: To malarstwo czysto wrażeniowe. Ja niestety nie potrafię budować obrazu bardzo świadomie, naukowo, powoli, jak to niektórzy malarze robią. Ja po prostu chwytam moment – musi mnie coś zachwycić i wtedy jak najszybciej staram się przenieść to na płótno. I wtedy jest szansa, że ma to jakąś wartość, że jeśli coś powstało szybko, to jest – jak na moje możliwości – dobre. Nie potrafię nad niczym długo pracować.

RV: Czy Państwo inspirują się nawzajem?

JP: Chyba w jakimś minimalnym stopniu – w pewnym stopniu pewnie tak. Owszem nasze malarstwo jest zupełnie inne, jak my jesteśmy zupełnie różni, ale jeżeli się tworzy sztukę, obrazy, to zdobywa się jakieś doświadczenia i ma się jakieś doświadczenie. Widzę coś u córki, córka coś widzi i tak możemy sobie pewnie w jakiś sposób pomóc – ale to nie jest sugerowanie się twórczością. Proszę ją, żeby sprawdziła coś, żeby powiedziała, co o tym myśli i wzajemnie. Po prostu człowiek, który się tym zajmuje, człowiek wrażliwy, zawsze coś zauważy, co może się drugiemu przydać.

RV: Jak się żyje z artystą pod jednym dachem?

JP: Zupełnie normalnie, żyjemy tak, jak każda rodzina. To, że jesteśmy artystami, nam nie przeszkadza ani specjalnie nie pomaga. Skoro mamy czas przeznaczony na twórczość, to każde z nas stara się to wykorzystać. Moja żona* też malowała i mieliśmy trzy zupełnie różne charaktery, trzy zupełnie różne osobowości – i żadne z nas w zasadniczy sposób nie wpływało na twórczość tej drugiej osoby. Chociaż to rzadkie, bo bardzo często żona malarka bywa pod silnym wpływem męża i nawet zaczyna malować „pod męża”, zaczyna go naśladować. U nas, broń Boże!, żona właściwie lepiej malowała ode mnie, więc mowy nie było, żebym ja wywierał na nią wpływ. Raczej przeciwnie, tylko że ja jej nie umiałem naśladować. Żyliśmy bardzo zgodnie, harmonijnie i chociaż malowaliśmy zupełnie inaczej, to w życiu rozumieliśmy się bez słów.

* Maria Erdman-Przelomiec (1923-1999) – malarka, konserwator zabytków.



Rys. Jan Przelomiec

Agnieszka Przelomiec

RV: Kto był dla Pani autorytetem artystycznym? Czy w ogóle ktoś taki w Państwa życiu zaistniał?

AP: Moim pierwszym autorytetem artystycznym była moja mama, a potem malarstwo Jerzego Nowosielskiego, z którym mama studiowała i była pod jego wpływem. Nauczyła mnie „wzroku malarskiego”, widzenia koloru takim, jakim powinno się go postrzegać, a nie takim, jakim widzą go ludzie. Nauczyła mnie też formy, elementarza malarskiego, tego, jak pisać pierwsze litery malarskie. Z czasem pojawiały się kolejne autorytety – moja serdeczna przyjaciółka Hania Sidorowicz, która od lat pracuje w Paryżu, Rembrandt, chociaż uprawiam sztukę nowoczesną, Velázquez i oczywiście impresjoniści. Wielu artystów inspirowała mnie malarstwem innych. Ja również korzystam z tego, co mnie zachwyca. Wówczas w jakimś stopniu staram się to naśladować. Taką fascynacją była dla mnie twórczość Ani Stankiewicz-Odoj, która robiła mi „korekty”, czy też szalenie kolorowe malarstwo Dariusza Pali, który obecnie pracuje w Miami. Całe życie towarzyszą nam jakieś wzory, dla mnie jednak najważniejszymi pozostaną moja mama i Nowosielski.

RV: W Pani twórczości widoczny jest wpływ miejsca...

AP: Na mnie ogromny wpływ ma Portugalia. To niekwestionowana królowa mojego wesołego malarstwa. Podczas wakacyjnych pobytów w tym kraju zbieram wrażenia, chodzę z malutkimi szkicownikami i robię rysunki, czasem kolorowe. Malarstwo większe powstaje po powrocie, przeważnie zimą, gdy na zewnątrz jest smutno i ponuro. Wówczas zamknięta w pracowni, wyłączam się, rozplątam w tym portugalskim świetle i daje mi to ogromną radość. W Portugalii robię też mnóstwo zdjęć, które są po części narzędziem pracy. Robiąc je, zachwycają się chwilą – spacerem po nocnej Lizbonie czy szaloną nocą winem oblaną. Nie myślę wówczas o poprawności tej fotografii, staram się jedynie zachować dany moment, czy wrażenie, na dłużej. Wykorzystuję je później do swoich prac. Do obrazu *Muzycy* też najpierw zrobiłam zdjęcia. Uważam natomiast, że malarstwo dosłownie kopiowane „z fotografii” jest martwe (choć zdarzali się tacy geniusze jak Utrillo, który malował wspaniale z pocztówek). Jak mówił Arystoteles – naśladowanie nie polega na tym, by naśladować zewnątrz, ale sięgać do istoty, czyli wnętrza. Osobiście wolę pracować z żywą postacią. Gdy jest taka potrzeba, mogę obserwować sylwetkę w ruchu, gdy długo nie maluję ust, mogę z człowiekiem rozmawiać. Gdy ma się do dyspozycji jedynie fotografię, malowana osoba będzie podobna, ale jednocześnie pozbawiona duszy. W sztuce więcej warta jest energia zawarta w obrazie, jak u Nikifora, nawet jeśli dach będzie trochę krzywy, a policzek nie w tę stronę skierowany, niż dzieło namalowane świetnym rzemieślnikiem, a bez emocji.

RV: Jakie cechy miejsc powodują, że stają się one inspiracją?

AP: W Portugalii jest to barwa, dzięki kolor, wygląd ludzi na ulicach, kolorowe materiały. Słońce tam świeci tak mocno, że wszystko ma ostry i nasycony kolor. No i kwestia oceanu, wilgotności powietrza. Ogromne znaczenie mają także obecne w Portugalii wpływy kultury mauretańskiej, ornamentyka i manueliński, bardzo rozrzeźbiony gotyk. Podobnie jak dla mojego ojca, również dla mnie ważną jest uroda miejsc, które mnie otaczają. Muszą być piękne, przyjemne, powinny cieszyć i dawać

przyjemność. Gdybym mieszkała w blokowisku, chyba powiesiłaby się. Na szczęście Olsztyn nie jest szary – jest pastelowy, chociaż nie interesuje mnie jako temat. W przeciwieństwie do ojca nie szukam inspiracji w pejzażu, który postrzegam malarsko jako prosty i nudny.

RV: A jakie jest Pani malarstwo?

AP: Maluję kilkutorowo. Z jednej strony tworzę szalenie kolorowe obrazy inspirowane Portugalią, z drugiej zaś maluję abstrakcje, które są dosyć monochromatyczne, mieszczą się w jednej palecie kolorystycznej. Podczas tworzenia abstrakcji ogromne znaczenie ma to, co dzieje się u mnie w głowie, w przeciwieństwie do twórczości mojego taty, który jest typowym wrażeniowcem, zachwyca się i maluje to, co widzi – przeżywając po swojemu. Moje malarstwo dzieje się wewnątrz. Jak powiedział Jerzy Panek, znany drzeworytnik – „zrobię z igły widły, ale najpierw muszę zobaczyć”. Najczęściej jest to zobaczenie w sobie silnych przeżyć, emocji. Przygotowując się do cyklu abstrakcji, bardzo długo się wyciszam, odrzucam powierzchowne emocje, by móc wejść w głąb siebie i „grzebiąc”, szukać ukrytych wewnątrz obrazów. Każda z powstałych w ten sposób abstrakcji opowiada jakąś moją historię. Jest wizualizacją przeżyć gromadzonych każdego dnia. Aby odnaleźć owe obrazy, muszę mieć moment absolutnego wyciszenia, izolacji. Wówczas „wyciągam” je, układam, a następnie przekładam na formy i kompozycje, buduję kolor. To długi proces.

RV: Czy inspirują się Państwo wzajemnie?

AP: Chyba wcale, choć ojciec twierdzi, że czerpie ze mnie. Osobiście więcej czerpałam z mamy, bo byliśmy do siebie podobni. Malarstwo, jakie uprawia ojciec, jest mi obce. Ale robimy sobie korekty prac, ojciec moich, a ja – ojca. Przy tworzeniu czasem traci się możliwość obiektywności oglądu swojej pracy, wówczas potrzebna jest opinia kogoś z zewnątrz. Gdy zdarzy mi się, że zabrnę w ślepy zaułek, wtedy idę do taty, a on popatrzy na to świeżym okiem i wytknie mi błędy. Tak było chociażby z obrazem „Papuga”. Dopiero, gdy ojciec stwierdził, że papuga żyje swoim życiem, a tło swoim, wtedy i ja to zauważyłam. Przemalowałam obraz. A czasem to ja mówię – „tu wata zrobiłeś”, „ten kolor jest za cukierkowy”, „tu brakuje dominanty – niby obraz siedzi, a nie siedzi”. Dobre jest też to, że jesteśmy z ojcem kompletnie różni, jeśli chodzi o postrzeganie świata malarskiego, choć bardzo często malujemy wspólnie. Korekty robię też swoim uczniom – bo uczę rysunku i malarstwa – „gdy czujecie się zmęczeni, odejdźcie od obrazu, zróbcie sobie przerwę, popatrzcie za okno, a gdy czujecie, że mimo przerwy oko nie jest takie świeże, oznacza to, że być może potrzebujecie oceny innego artysty”.

RV: Jak żyje się pod jednym dachem z innym artystą?

AP: Mój ojciec, jak każdy z nas, jest indywidualnością, śmieję się, że wymaga specjalnej troski. Ale ma tę cudowną cechę, że nie zajmuje przestrzeni energetycznej, nie kradnie jej. Jest tak absolutnie pochłonięty swoim światem i absolutnie nieprzeszkadzający, że raczej jemu jest ciężko żyć ze mną. Gdy maluję, jestem chimeryczna i nie do zniesienia. Podczas pracy koncentruję się z trudem. Jest to na tyle duży wysiłek, że każdy niechciany w tym czasie sygnał zewnętrzny sprawia, że potrafię być nieprzyjemna i nietaktowna. Jedyne obecność taty mi nie przeszkadza, bo to osoba, która ma w sobie niesamowity spokój wewnętrzny i łagodność.

Sylvia Białecka

Europejskie martwe dusze

po Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym DEMOLUDY w Olsztynie



„Zależy nam na pokazaniu literatury i teatrów w Polsce nieznanych, a także na przełamaniu stereotypów i zaprezentowaniu teatrów wschodnich, gdzie kwitnie znakomita, nowoczesna dramaturgia” – zapowiadał w 2006 r. zmianę formuły festiwalu „Na Pomostach” dyrektor Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, Janusz Kijowski. Były to zmiany rewolucyjne – od sztuk ulicznych i teatru rozrywkowego po ambitny repertuar i nowoczesne formy wyrazu – wprowadzane jednak stopniowo, by widza nie zniechęcić. Pierwszą jaskółką była reinterpretacja hasła „Na Pomostach”, oznaczającego dotychczas miejsce przedstawień (poza teatrem) i ich formę – teatr uliczny, w tym również teatr tańca i teatr ognia. W 2006 r. przez prezentację grup rosyjskich próbowano stworzyć „pomost między Europą Środkową i Wschodnią”. W następnych latach festiwal przechodził kolejne przemiany – zrezygnowano zupełnie z przedstawień ulicznych, powstała nowa nazwa DEMOLUDY, w końcu zmieniono również termin festiwalu – z lipca na wrzesień – a w 2010 r. na październik (ukłon w stronę olsztyńskich studentów). Stopniowo też rozszerzono ideę festiwalu – DEMOLUDY to już nie tylko prezentacja dramatu wschodniego, ale również odkrywanie tożsamości byłych demokracji ludowych – od naszych wschodnich i południowych sąsiadów po kraje bałkańskie, od których po zmianach ustrojowych w latach 90-tych XX wieku zaczęliśmy się oddalać i izolować. Demoludowa „strefa tożsamości” to nie tylko teatr – spektakl towarzyszą koncerty, spotkania z artystami, czytania performatywne.

Tak również było w tym roku – od 5 do 9 października odkrywaliśmy Czechy i Słowację. Odbyły się: koncert muzyki rockowej, czytanka na scenie Margines, spotkanie z Mariuszem Szczygłem i przede wszystkim spektakle – prezentujące szeroki wachlarz form, środków i tematów.

Pierwszym spektaklem tegorocznych DEMOLUDÓW była multimedialna prezentacja *Europejczycy* (reżyseria Jiří Adámek) w wykonaniu czeskiej grupy Boca Loca Lab. Spektakl był widowiskowym pokazem możliwości głosowych, wokalnych i artykulacyjnych czwórki „aktorów”, w programie teatralnym zaprezentowanych zresztą w typowy dla sceny muzycznej sposób: jako sopran (Veduna Štíchová), alt (Anna Synková), tenor (Pavol Smolárik) i bas (Petr Venčura). Tekst spektaklu bazował na pojedynczych słowach i frazach, powtarzanych i przetwarzanych w różnych kontekstach. Powstawały w ten sposób nowe, często złowrogię znaczenia. Urywki komunikatów telewizyj-

nych i radiowych, relacji z międzynarodowych konferencji i pojedyncze słowa-klucze, przetwarzane za pomocą efektów dźwiękowych i multimedialnych, stworzyły obraz Europejczyków – zdeintegrowanej społeczności, powtarzającej do znudzenia te same frazy w wspólnocie Europy, ogarniętej strachem przed Rosją i światem muzułmańskim. Europejczycy według Adámka żyją w cieniu poworldtradecenterowego zagrożenia, spoglądają przerażeni w stronę wynawców Allaha, w gęstym jak dym, dezorientującym szumie informacyjnym nasłuchują komunikatów o „ostatecznym potwierdzeniu” kolejnego ataku... Wspólnota Europejska jako instytucja prezentuje się żałośnie – rozdrobniona na szereg instytucji o niejasnym zakresie zadań i kompetencji, z niezbędnym słowem „europejski” w nazwie, rozmienna czas na drobne, gawędząc podczas zebrań i konferencji o wspólnej polityce, realizowanej głównie w obrębie kultury kulinarnej, słuchając niekończącego się strumienia tłumaczeń tych samych fraz i pustych deklaracji. To martwota, nieprowadząca do niczego, zajmująca się błahymi sprawami, które odwracają uwagę od poważnych problemów świata – zagrożenia terrorystycznego, głodu, epidemii – i tych bliźszych Europejczykom – bezrobocia, biedy, przestępczości.

Spektakl *Martwe dusze* (scenariusz i reżyseria Dušan Vicen) w wykonaniu słowackiej grupy Divadlo SKRAT, kończący DEMOLUDY, prezentował drugą stronę medalu – „szare społeczeństwo”, mieszkających w blokowisku, tzw. zwykłych ludzi i ich niezmienną codzienność, rozpiętą między samotnością a nieczułym, mechanicznym kopulowaniem, przyprawionym ewentualnie szczyptą perwersji. Nagromadzenie przedmiotów na scenie, z których zawsze tylko fragmenty wyluskiwały z ciemności światła reflektorów, sprawiały przygnębiające wrażenie braku wolności i przestrzeni – ludzie nie mogą w niej myśleć, swobodnie się poruszać, nie mogą nawet swobodnie oddychać. Wszystko jest w tym zatłoczeniu zduszone, skarłate, pozbawione znaczenia – stosunki międzyludzkie perwersyjne lub pełne przemocy, samotność tłumiona alkoholem – dominuje poczucie niespełnienia, frustracji i niemocy. Ogluszająca muzyka i dynamiczne oświetlenie tylko potęgują te wrażenia. W tym zduszeniu, jak wszędzie, wszystko zakończy śmierć.

Na tle tych dwóch przedstawień, a także propozycji olsztyńskiego teatru pt. *Lemoniadowy Joe*, niezwykle prezentował się spektakl *I będziemy szeptać*, w reżyserii Kamila Žiški. To opowieść o czterech pisarkach z przełomu XIX i XX wieku – Hanie Gregorovej, Lúdmile

Europejczycy, Boca Loca Lab.
Fot. Arch. organizatora



Podjavorinskiej, Elenie Maróthy-Šoltésovej i Terézii Vansovej – e-teoryczne i metaforyczne przedstawienie zależności kobiet od czasu i przestrzeni, w której żyją, od tradycji, konwenansów i reguł życia społecznego. Opowieść zarówno o próbach wyzwolenia się, jak i o próbach kompromisu – życia zgodnego z oczekiwaniami. W oparciu na biografiami i wypowiedziach pisarek tekście słowa odgrywały rolę drugorzędą – spektakl bazował na subtelnych metaforach – biel strojów kontrastowała ze scenografią, w końcu jednak przykryła ją żałoba płaszcza. Symboliczne nakładanie kolejnych warstw ubrania – butów obowiązków, sukienek konwenansów, parasoli, kapeluszy i rękawiczek kolejnych doświadczeń. Wyznaczona „od zawsze” droga życiowa – biała, kreślona kredą linia, zaznaczanie swojej obecności – ślady stóp i pisanie. Miłość i macierzyństwo symbolizowane męskimi koszulami i dziecięcymi ubrankami. Ulotne chwile radości i poczucia wspólnoty przerwane nagłą burzą... I talent rozbity o gotowanie, pranie, sprząkanie, niekończące się pytania dzieci, męzowskie wymówki. I to poślubne zdziwienie – „Gotować?”. W dzisiejszym dyskursie feministycznym, kiedy kobiety odkrywają „język swojej seksualności” i „własną kobiecą estetykę”, pytanie o to, kto ma gotować (i dlaczego kobieta), wydaje się śmieszne i anachroniczne. Gdzie byśmy jednak dziś były, gdyby ono wtedy nie padło?



Marta Andrzejczyk – olsztynianka, animatorka społeczno-kulturalna zawodowo związana z Miejskim Ośrodkiem Kultury w Olsztynie, prezeska Stowarzyszenia SCENA BABEL, piosenka, aktorka Białego Teatru w Olsztynie oraz Teatru Kreatury z Gorzowa Wielkopolskiego. Śpiewa w programie słowno-muzycznym Śpieszmy się kochać ludzi... (poezja ks. J. Twardowskiego, muz. H. F. Tabęckiego z towarzyszeniem Ewy Błaszczyk i Krzysztofa Kolbergera). 15 kwietnia 2010 roku, na Zamku Królewskim w Warszawie, w imieniu polskich artystów i twórców programem Śpieszmy się kochać ludzi... pożegnała parę Prezydencką i Ministra Tomasza Mertę. Współzałożycielka grupy literacko-muzycznej SCENA BABEL (1999), Kabaretu Piosenki Smutnej (2007) oraz Teatralnego Spichlerza (2009). W latach 2002-2004 związana z Teatrem Pantomimy Olsztyńskiej, adeptka Olsztyńskiego Teatru Rapsodycznego, nagradzana w dziedzinie piosenki i aktorstwa, stypendystka Prezydenta Miasta Olsztyn, Ministra Kultury i Sztuki, Ministra Edukacji Narodowej i Sportu. W 2007 roku ukazała się jej pierwsza płyta pt. Cicho, na której gościł też głos Mirosława Czyżkiewicza. W 2010 roku wydała drugi album pt. Cienie.

Marta Andrzejczyk Teatralny Spichlerz – Scena Kreatur – istny Babel!

Działające od 2000 roku na terenie Olsztyna Stowarzyszenie „Scena Babel” poszukiwało swojej autonomicznej przestrzeni do realizacji twórczych pomysłów i celów statutowych. Mieliśmy ku temu okazję w 2002/2003 roku, zakładając i działając przez sezon, w Domu Pracy Twórczej „Pajęczarnia” przy ulicy Królowej Jadwigi 4 w Olsztynie. Miejsce to zostało udostępnione Stowarzyszeniu przez Centrum Informacji Technicznej i Biznesowej MBP. Podobnie rzecz się miała ze Stowarzyszeniem Teatr Kreatury, które swoje cele statutowe na niwie kultury realizowało przez okres 2,5 roku w „Stolarni”, budynku starej stolarni, udostępnionym Stowarzyszeniu przez Urząd Miasta w Gorzowie Wielkopolskim.

Teatralny Spichlerz to przestrzeń, dzięki której te dwa Stowarzyszenia mogły połączyć swoje siły i stworzyć pefen poezji i teatru tygiel artystyczny. Działania w TS zainicjowaliśmy w 2009 roku, trwały dwa miesiące – lipiec i sierpień – wpisując się w Olsztyńskie Lato Artystyczne. Dzięki ogromnemu zainteresowaniu, jakim cieszyły się letnie spotkania, Dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury w Olsztynie, pan Marek Marcinkowski, na mocy porozumienia udostępnił Stowarzyszeniom salę Spichlerza przy ul. Piastowskiej 13, efektem czego było wznowienie działań podczas OLA 2010 i kontynuowanie ich w roku kulturalnym 2010/2011.

Gospodarzami wieczorów są Biały Teatr i Teatr Kreatury. Ofertę programową wzbogacają również przyjaciele związani ze Stowarzyszeniami, m.in.: Hanna Brakoniecka, Basia Radaszkiewicz, Aurelia Luśnia, Kabaret Piosenki Smutnej, Piotr Szauer. W sumie posiadamy około dwudziestu pozycji repertuarowych (w tym recitale, spektakle teatralne, spotkania autorskie, koncerty kabaretowe). W 2010 roku zapowiedzieliśmy cztery premiery (wszystkie zostały już zrealizowane): spektakl Białego Teatru pt. *Gra: Zamek* (w reżyserii Janiny Tomaszewskiej) na podstawie powieści Franza Kafki *Zamek*, trzy premiery Teatru Kreatury – *Witek* w oparciu o prozę Witolda Gombrowicza, *KU PA* na podstawie rysunków Marka Raczkowskiego (Teatr Kreatury za to przedstawienie otrzymał główną nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu „Stodkoblękity” w Zgierzu we wrześniu 2010, a pisząca te słowa – nagrodę specjalną od jurora Festiwalu Michała Kwiecińskiego) oraz *Chłopski głos* na podstawie małych próz Hanny Brakonieckiej (wszystkie w reżyserii Przemka Wiśniewskiego).

Marzymy o tym, aby nasze działania wpisały się w przestrzeń kulturalną Olsztyna, abyśmy mieli możliwość twórczej pracy, realizowania oraz pokazywania naszych „dziełek” szerszej publiczności, żeby Teatralny Spichlerz zaistniał w sercach, duszach i umysłach olsztyniaków, spragnionych sztuki i kultury studentów oraz odwiedzających nasze miasto turystów.

Wydarzenia odbywają się w każdy poniedziałek o godzinie 19:00.

ZapraszaMy.

www.teatralnospichlerz.strefa.pl

Kaja Wilengowska

Niby za górami, niby za lasami... *Essential killing*

Essential killing to nowy film Jerzego Skolimowskiego. Już sam jego tytuł brzmi tajemniczo, groźnie – i pod takim tytułem film polskiego reżysera trafił do polskich kin. Kompletnie obcy, ostawiony jedynie sukcesem na 67. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji, gdzie film pojawił się bezpośrednio po zakończeniu postprodukcji i jeszcze nikt go nie widział. Jury, pod przewodnictwem Quentina Tarantino, przyznało filmowi dwie nagrody – nagrodę specjalną jury oraz nagrodę dla najlepszego aktora – Vincentowi Gallo, odtwórca roli głównej. Sukces, jakiego dawno nie było, sukces pałaszowany namiętnie przez polskie media. W Wenecji pojawiło się symbolicznie polskie kino i jest się z czego cieszyć, czym chwalić. Ale czy polskie?

Jerzy Skolimowski zawsze był indywidualnością kina. *Rysopis, Walkower, Ręce do góry* – filmy reżysera, zrealizowane w latach sześćdziesiątych, w Polsce wyznaczyły jego wizerunek. Był odtwórcą roli głównego bohatera – Andrzeja Leszczyca, autorem scenariusza, narratorem, pokazywał siebie dogłębnie, obnażając, lawirował na pograniczu rzeczywistości z dużą dozą eskapizmu. Miał styl niepokornego egocentryka, twórcy nieco wyalienowanego, nieprzystosowanego, a właściwie zagubionego, jak jego bohater. Wyjechał z Polski w 1969 roku, pracował w Anglii, Włoszech i Hollywood. Obcość Skolimowskiego pojawia się też w jego znakomitym, jątrzącym emocjonalnie i wzbudzającym dyskusje *Essential killing*. Pojmany podczas wojny w Afganistanie Mohamed zostaje przewieziony do obcego, zimnego, przejmującego mroźnego wręcz kraju, gdzie wszędzie jest śnieg, lasy, wszystko jest nieznanne i mówi się w niezrozumiałym języku. Wyrazista twarz Vincenta Gallo wystarczy, oczywiste jest jego milczenie, aktor nie wypowiedział ani słowa podczas całego filmu. Więźniowi udaje się wydostać z konwoju i ukrywa się w tym nieznanym świecie, ucieka, walczy, byle przetrwać... Zaszczuty jak zwierzę, groźny i okrutny jak zranione wierzę. Zabija, aby przeżyć, zdobyć pożywienie i w tych warunkach wydaje się to naturalne, chociaż nieludzkie.

Najwięcej emocji wzbudził we mnie wizerunek Polaków w filmie Skolimowskiego. Zobaczyłam durnych, niewydurowanych, przerysowanych ludzi, a jedyna postać pozytywna w tej filmowej Polsce, to kobieta grana przez znaną francuską aktorkę w stroju z żurnala, wewnątrz jej domu jest również wystylizowane, a nie prawdziwe – a obchodzone właśnie święta Bożego Narodzenia narzucają niepotrzebnie kontekst religijny. Wkurzył mnie ten obraz. Naniesiony jedynie jako stereotyp, buduje tylko kolejne bariery między filmem a widzem.

Reżyser pokazał piękną, estetycznie wyjątkową, dziwą i fascynującą przestrzeń. Niby za górami, niby za lasami... gdzieś w okolicach naszego miasta amerykańscy żołnierze budują więzienia i taka historia może się zdarzyć – ale mam jakiś dyskomfort, że to, co powinno być bliskie, znane, w filmie Skolimowskiego wygląda inaczej, nieswojo, jakby mieszkający znów w Polsce twórca widział wszystko zapakowane w grubą warstwę folii aluminiowej.

Jadwiga Bolińska

Dyskusyjny Klub Filmowy „ZA”



Lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku w Wojewódzkim Domu Kultury w Olsztynie (obecne Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych) obfitowały w powoływanie do życia oryginalnych wydarzeń kulturalnych. Tak w 1973 roku ruszyły Ogólnopolskie Spotkania Zamkowe „Śpiewajmy Poezję”, których pomysłodawcą był Ryszard Krawczyk. Natomiast za sprawą wielkiej indywidualności tanecznej, Marii Jolanty Felskiej, odbył się pierwszy „Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego” z udziałem par zagranicznych. W tymże roku kipiało i w filmie. Z inicjatywy Edwarda Sulikowskiego, instruktora filmu i fotografii, zorganizowano na bazie kina, które działało od 1957 r. w WDK, Studium Wiedzy o Filmie. Stąd już tylko krok do powstania DKF-u. Wszystko się stało dzięki wielkiej chęci ściągnięcia do Olsztyna filmów niedostępnych w ogólnej dystrybucji państwowej. W kwietniu 1975 r. Edward Sulikowski powołał Dyskusyjny Klub Filmowy – był też przez krótki czas jego prezesem. Od września 1975 r. funkcję tę przejęła opiekunka Kina i Klubu – Wiesława Kuziemska, która za namową pierwszej Rady nadała mu nazwę „ZA”. I tak oto od 1975 r. do chwili obecnej działa DKF „ZA”. Tu w ciągu 35-letniej działalności przewinęło się tysiące widzów, tu – zanim powstały „multipleksy” – można było obejrzeć wszystko, co w filmie ważne. DKF „ZA” proponował kino ambitne, pokazywał filmy dziś uważane za kultowe. Zrealizowano tu kilkanaście seminariów filmowych oraz około czterdziestu przeglądów tematycznych, którym towarzyszyły fora dyskusyjne z udziałem reżyserów, autorów i redaktorów pism poświęconych kulturze filmowej. Gościli u nas m.in. reżyserzy: Dorota Kędzierzawska, Magda Łazarkiewicz, Agnieszka Holland, Henryk Kluba, Krzysztof Kieślowski, Andrzej Wajda, redaktorzy: Rafał Marszałek, Krzysztof Kreuzinger, Ewa Banaszkiewicz, czy tacy autorzy jak: Janusz Kijowski, Bogdan Kosiński, Tomasz Lengren, Feliks Falk i wielu, wielu innych. Często spotkaniom towarzyszyły wystawy fotograficzne czy plakatów.



Edward Sulikowski (z kamerą). Fot. Archiwum CEiIK

W latach 1989-1991 DKF „ZA” promował kino polskie, pokazano w tym okresie 13 filmów, zaś po projekcjach odbywały się spotkania z reżyserami, scenarzystami lub aktorami. Od 1991 do 1993 r. zorganizowano cztery Przeglądy Kina Brytyjskiego, pokazując 14 filmów, w tym takie perełki jak „Most na rzece Kwai” (reż. D. Lean), „The Beatles” (reż. R. Lester), czy w 1993 r. Przegląd Filmów Monty Pythona. W latach 1988-1996 DKF „ZA” był organizatorem Ogólnopolskich Sesji Filmowych „Guzowy Piec – Promocja Kina Polskiego”.

Przez te wszystkie lata Klub dał się zauważyć na filmowej mapie Polski i zdobył uznanie – w 1981 r. otrzymał doroczną nagrodę Federacji DKF im. Antoniego Bohdziewiczza dla najlepszego DKF w kraju, zaś w 1983 r. wyróżniony został przez miesięcznik „Kino” za profesjonalną organizację seminariów filmowych.

Od dwunastu lat wykorzystujemy doświadczenia DKF „ZA”, realizując projekty i zarazem cel – edukację filmową, np. przez program „Cogito” dla młodzieży oraz warsztaty filmowe „Pro Arte” dla nauczycieli. W obu przypadkach są to ambitne projekcje filmowe kina polskiego i światowego połączone z wykładem (o historii filmu, jego gatunkach, twórcach opowiada Grzegorz Pieńkowski, wykładowca PWSFiTV).

W dniach 21-24 października 2010 r. DKF „ZA” obchodził swoje 35-lecie. Zgodnie z historią powinien świętować swoje powstanie w kwietniu, ale przeszkodził temu remont sali CEiIK-u – po rozmowach w Radzie Klubu przenieśliśmy więc świętowanie na październik. W ramach obchodów jubileuszu istnienia Klubu zorganizowaliśmy Przegląd „My i nasi sąsiedzi”. Chcieliśmy w ten sposób przypomnieć pomysłodawcę i założyciela pierwszego klubu filmowego w Olsztynie, Edwarda Sulikowskiego. Człowiek ten nie tylko związany był i jest z działaniami promującymi dobry film – jest znany również jako twórca filmowy. Postanowiliśmy więc pokazać, co tworzył.



Z filmów, które powstały w AKF-ie „Grunwald”, wybraliśmy dwa, charakterystyczne zarówno dla zainteresowań twórcy, jak i naszych potrzeb: *Idę do Ciebie Mario* i *Śladami twardej drogi*. Filmy te mówiły o naszej „małej ojczyźnie”. O ludziach, którzy nie tylko tu żyli, ale również tworzyli współczesną historię. To właśnie przeglądowi „My”. Wychodząc od siebie, stwierdziliśmy jednak, że nie żyjemy w zamkniętej enklawie. Ważne jest sąsiedztwo i to, co ono tworzy, czyli „nasi sąsiedzi”. Stąd pomysł na tytuł i koncepcję Przeglądu. Część z filmów, które zostały przedstawione, pokazywała, jaki stosunek mają do nas, Polaków, nasi sąsiedzi. Czy to przez pryzmat historii (*Kadet*, reż. W. Dudin, Białoruś 2009), czy pokazanie tego, co w nas Polakach fascynuje innych (Polskie *Love Serenade*, reż. M. A. Wojtyłło, koprodukcja polsko-niemiecka 2008). Część filmów pokazywała ważne problemy społeczne (*Inne światy*, reż. M. Škop, Słowacja 2006) lub polityczne (*Las Bogów*, reż. A. Puipa, Litwa 2005; *Car*, reż. P. Łungin, Rosja 2009), nurtujące nie tylko naszych sąsiadów. Większość filmów to produkcje współczesne, tworzone w latach 2002-2009. Jedynie filmy animowane z cyklu *Opowieści o Kozakach* (reż. W. Dachno, Ukraina), to filmy z 1984 r. Pokazanie na Przeglądzie filmów z rodzimego AKF-u oraz wykład reżysera E. Sulikowskiego wywołały nie tylko wzruszenia wśród widzów, ale były okazją do dyskusji na temat „Co dalej z DKF-ami”. Dyskusję poprowadził członek Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych, Grzegorz Pieńkowski. Podsumowując, stwierdzono, że gdyby nie wsparcie takich instytucji jak Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych, przy którym działa olsztyński DKF „ZA”, obecnie nie byłoby możliwe jego funkcjonowanie. A istnienie DKF, jak stwierdzono, to możliwość obejrzenia za niewielkie pieniądze tego, co wartościowe nie tylko w kinie polskim, ale również w europejskim i światowym. To także możliwość kształtowania naszych gustów, poglądów oraz kontakt z wielką sztuką.

Zapraszam na cotygodniowe seanse filmowe do Dyskusyjnego Klubu Filmowego „ZA”.



Wydawnictwo

Grunwald, Chopin i Koncert Polski

Krzysztof D. Szatravski



Fot. Piotr J. Reszczyński

Od lat do olsztyńskich tradycji należy organizowanie z okazji Święta Niepodległości specjalnych koncertów poświęconych muzyce polskiej oraz utworom o charakterze patriotycznym. Tegoroczny Koncert Polski (12 listopada) miał szczególny wymiar, jego program stanowiły bowiem głównie utwory nowe, jednak powiązane z historią. Ich prawykonanie odbyło się w 600. rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Program wzbogacił utwór Fryderyka Chopina, który urodził się w 400. rocznicę bitwy. A zatem 1410, 1810 i 2010 to daty, których muzyczną konsekwencją miała się stać uroczysta prezentacja muzyki polskiej.

Otwierające koncert *Fanfary polskiego rycerstwa* Janusz B. Lewandowski skomponował na 6 waltorni i instrumenty perkusyjne. Tym razem *Fanfary* wykonane zostały przez nietypowo usytuowany zespół. Perkusiści zajmowali miejsca na estradzie, zaś waltorniści ustawili się za plecami publiczności. Ten interesujący zabieg obok znaczenia symbolicznego miał również wartość czysto poznawczą, pozwalając publiczności dokładniej wstuchać się we współbrzmienia dwóch grup instrumentów i charakter fanfar. Eksperymentowanie z przestrzenią brzmieniową to nie od dziś pole twórczych zainteresowań Janusza B. Lewandowskiego.

Do tradycji sięgających pierwszych lat istnienia orkiestry należy zapraszanie do Olsztyna laureatów Konkursu Chopinowskiego. Jako pierwszy laureat tegorocznego Konkursu wystąpił w Olsztynie zdobywca V nagrody, François Dumont. Z prowadzoną przez Janusza Przybylskiego orkiestrą zaprezentował on *Koncert fortepianowy e-moll* – ten sam, który grał w finale konkursu. I niewątpliwie było to wykonanie znacznie ciekawsze, bardziej niepokorne, skupione raczej na barwach i emocjach, niż na efektach wirtuozowskich. Ogromna w tym zasługa zarówno pianisty, który zamiast powtarzać sprawdzone rozwiązania, poszukuje rozstrzygnięcia artystycznych dylematów wciąż od nowa.

Koncert fortepianowy, zwłaszcza koncert Chopina, to forma oparta na równowadze solisty i orkiestry. I tę równowagę udało się zna-

komicie uchwycić wykonawcom piątkowego koncertu – wspólne muzykowanie François Dumonta i Janusza Przybylskiego mogło poruszyć nawet skalę. Oryginalne spojrzenie na strukturę brzmieniową chopinowskiego koncertu spotkało się również z żywą reakcją publiczności, która oklaskiwała artystów, stojąc. Na bis François Dumont zagrał *Etiudę Ges-dur op. 10 nr 1*, z właściwą sobie elegancją łącząc wirtuozowski popis i finezyjne wyczucie barw oraz niuansów artykulacyjnych.

W drugiej części wieczoru orkiestra pod batutą Janusza Przybylskiego wykonała *Uwerturę „Rok 1410”* Stanisława Moryto oraz *Kantatę „Grunwald 1410”* Romualda Twardowskiego. *Uwertura „Rok 1410”*, skomponowana w formie utrwalonej w okresie romantyzmu uwertury programowej, opiera się na zestawieniu serii niezwykle czytelnych obrazów muzycznych, układających się w narracyjną sekwencję. Oparte na kontrastach wyrazowych, dyscyplinie artykulacyjnej i wyraźnej dynamice wykonanie kompozycji Stanisława Moryto wywarło na publiczności duże wrażenie.

Podobne emocje wzbudził *„Grunwald 1410” na głos basowy i orkiestrę* Romualda Twardowskiego – ten utwór także został skomponowany z okazji 600-lecia bitwy. I tu nie zabrakło popisowych fragmentów, finezyjnych barw i orkiestrowych *tutti*, jednak pierwszy plan należał do śpiewaka Jarosława Bręka. Znakomity wokalista, dysponujący nośnym, doskonale postawionym głosem o niezwykle szlachetnej barwie i szerokiej skali ekspresji, zasługuje na uważny odbiór. Możliwe, że jest to w chwili obecnej największa nadzieja polskiej wokalistyki. Również w tej części publiczność domagała się bisu, zmuszając wykonawców do wykonania *Supplicium pro pace*, czyli 3. części kantaty Romualda Twardowskiego. Zaprezentowane utwory grunwaldzkie oraz *Poemat symfoniczny „Grunwald”* Jana Adama Maklakiewicza ukazały się na płycie *Grunwald – in honorem victorum militum Polonorum 1410-2010*. Uroczysty koncert zaszczylił swą obecnością kompozytorzy dwu prezentowanych utworów – Janusz B. Lewandowski i Romuald Twardowski.

Lucyna Dobaczewska



Boże Ciało

Przystanek autobusowy
oklejony podobizną Popiełuszki
na ławce stare kobiety
czekają na znak swojej linii
niekończący się sznur samochodów
przeciska się przez usta mostu
(jak magnetyczna karta do banku miasta)
dobrze że chociaż tramwaje
mają wolny przejazd – jednak dziś
po szynach pędzi erka –
na chodniku ciało
w czarnym worku dwie stopy
„Do diabła! Długi weekend, korki jak cholera...”
sanitariusz krzyczy
ludzie idą dalej
słońce świeci
ksiądz na plakacie pochylił głowę



Fot. Arch. autorki

Chemia i filozofia

Capreolus capreolus

on i ona w szarobrazowych sukniach
zamknięci w strukturze lasu – klatrat natury
w śródziemiu wielkiego miasta

Z nimi Homo jeszcze myślący
choć skażony oddechem
hałaśliwej cywilizacji
z trudem utrzymuje równowagę chemiczną
między duszą a produktem ubocznym
ocieplenia klimatu

Ciało jest kotwicą...

Ciało jest kotwicą dla duszy
skrywającej światłość
skałą do której powraca fala
nasiąknięta solą
brzegiem co trzyma mocno
morza madonnę
A myśli związane uczuciem
tryskają z dna bałtyckim bursztyнем

Jesteś statkiem przy brzegu
wypełniony słonecznym jantarem
mój chłopcze o złotych oczach

Urodziła się 30 października 1964 r. w Żninie. Z zawodu jest technikiem farmacji. W latach 1990-2008 mieszkała i pracowała w Olsztynie.

Pierwszy wiersz (*Drzwi otwarte snem*) opublikowała w 2010 r. na łamach czasopisma „Akant”. Jest laureatką IV edycji konkursu poetyckiego wydawnictwa Black Unicorn (wiersz *Maski weneckie* zostanie opublikowany w tomie zbiorowym, zawierającym nagrodzone prace).

Barbarzyństwo wielokulturowości?

Refleksja nad wielokulturowością, jeżeli ma mieć jakiś sens, musi opierać się na dokładnie sprecyzowanej kategorii kultury. Tylko dzięki temu możemy uniknąć jałowej retoryki i pseudoproblemów występujących w dyskursie o niej. Głos każdej osoby, biorącej udział w powyższych dyskusjach, można rozpatrywać z perspektywy przyjmowanych przez nią w sposób świadomy lub nieświadomy założeń, definiujących jej rozumienie kultury.

Osoby, głoszące normatywną ideę wielokulturowości, czyli uznającą ją za pozytywną wartość dla systemu społecznego, w którym zjawisko to występuje, mają zupełnie inne rozumienie kultury niż osoby nastawione krytycznie do powyższej idei. Po zapoznaniu się z wieloma głosami zwolenników wielokulturowości można dojść do wniosku, że swoje stanowisko opierają na dość stereotypowym, powierzchownym i nieokreślonym rozumieniu zjawiska kultury. Widać u nich brak głębszej refleksji nad funkcjami, jakie spełnia kultura we wzajemnych relacjach pomiędzy różnymi wspólnotami. Czytając różne teksty zwolenników wielokulturowości, ma się wrażenie, że kultura jest jakimś zbytecznym, nieistotnym dodatkiem, a nawet wręcz przeszkodą dla pełnego, wzajemnego zrozumienia jednostek między sobą. Wystarczy zrelatywizować własną kulturę poprzez poznanie odrębności innych, by nastąpił autentyczny dialog i powszechne bratanie się wszystkich ze wszystkimi. Pomija się przy tym problem zaangażowania emocjonalnego nie tylko w różne, ale i przeciwstawne systemy wartości. W tej wizji kultury są one zredukowane do różnych, odmiennych form, pod którymi znajduje się taka sama w swej istocie treść, jakim jest uniwersalny humanizm, oparty na kategorii takiego samego podmiotu ludzkiego we wszystkich wspólnotach. Oczywiście, powyższą humanistyczną istotę wszystkich kultur w pełni poznała i zrozumiała do końca jedynie nasza współczesna zachodnia cywilizacja, jako najwyższa forma wszelakiego rozwoju, techniczno-naukowego, gospodarczego i duchowego. Czy już w tym nie widać naszego poczciwego europocentryzmu, tak dobrze znanego z czasów kolonialnych? Czyż nie widać nowej formy ideologii postkolonialnej, dążącej do stworzenia iluzji wśród innych kręgów kulturowych, że im własna kultura nie jest wcale potrzebna, że wystarczą standardy humanizmu, wypracowane w cywilizacji zachodniej? Problem polega na tym, że na tę iluzję nabierają się jedynie osoby z naszego kręgu kulturowego. U Chińczyków, Hindusów czy muzułmanów oprócz milczenia bystrzejszy obserwator dostrzeże może jeszcze ironiczny uśmieszek. Prawdopodobnie będzie on oznaką zrozumienia przez daną osobę słabości naszej cywilizacji. Kultury nie są względem siebie neutralne.

One wzajemnie się niszczą. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż można je porównać do układu immunologicznego, broniącego społeczeństwo przed destrukcyjnymi wpływami konkurencyjnych wspólnot. Tam, gdzie mamy różne kultury, mamy zawsze do czynienia z ich „zderzeniem”. Na poziomie retoryki indywidualizmu jako ideologii świata zachodniego hedonizmu kultura została zredukowana do dodatku, mającego poprawić trawienie zbyt obfitego żarcia. W związku z tym „zderzenie kultur” jako zjawisko wzajemnej ich destrukcji z tej perspektywy jest niedostrzegalne. Jednak widać je już coraz wyraźniej na konkretnych przykładach wzajemnych relacji pomiędzy mniejszościami muzułmańskimi a resztą społeczeństw europejskich. Przykład Kosowa pokazuje długofalowe skutki prowadzenia polityki wielokulturowości dla społeczeństw zachodnich za trzydzieści-czterdzieści lat. Z tego, że świat zachodni pozbywa się w imię komfortu i hedonizmu własnej tożsamości kulturowej, jeszcze nie wynika, że będą to samo czyniły osoby z innych kręgów kulturowych. Idea asymilacji mniejszości kulturowych w Europie poniosła całkowite fiasko. Ewidentnym tego przykładem były zamachy terrorystyczne w Anglii, zorganizowane przez osobników urodzonych i wychowanych na wyspie, a których rodzice pochodzili z krajów muzułmańskich. Absolutnym złudzeniem Zachodu jest idea, że można stworzyć globalną wioskę w oparciu o czystą technologię – naukę, używaną w jedynym celu, jakim jest maksymalna idea konsumpcji i komfortu poszczególnych jednostek. Z jej perspektywy staje się czymś nieistotnym kwestia istnienia przeciwstawnych wartości w różnych kręgach cywilizacyjnych. Pomija się w tym obrazie również skończoność zasobów ziemskich i wynikającą z tego konkurencję pomiędzy różnymi populacjami biologicznymi. Kultura to nie narzędzie sprawiania przyjemności poszczególnym jednostkom, jak sobie to roi wielu zwolenników wielokulturowości. Mam tu na myśli nie tylko przyjemności materialne, ale także czysto duchowe, takie jak całkowite zrozumienie i zbratanie się wszystkich w ogólnoludzkim humanizmie. Proponuję zwolennikom wielokulturowości porównanie humanizmu muzułmańskiego i zachodniego w odniesieniu do praw kobiet. Nie chodzi mi tu wcale o wyższość standardów europejskich pod tym względem, chcę jedynie zwrócić uwagę na to, że miejsce kobiety w społeczności muzułmańskiej doprowadza do absolutnej przewagi tych wspólnot pod względem demograficznym nad społeczeństwami europejskimi. Na tym przykładzie wyraźnie widać, że kulturę należy rozpatrywać jako narzędzie zorganizowanej konkurencji pomiędzy różnymi populacjami. W związku z tym, że jest ona systemowa, globalna, to jest niewidoczna dla poszcze-

gólnych jednostek. Można powiedzieć, że to walka pomiędzy różnymi kodami kulturowymi, których nosicielami są określone zespoły biologiczno-genetyczne. Z perspektywy pojedynczej jednostki może być ona jedynie konkurencją na płaszczyźnie czysto aksjologicznej. Ale tak naprawdę jest to walka na wszystkich płaszczyznach, biologiczno-demograficznej, ekonomicznej, aksjologiczno-duchowej, na tyle globalna w sensie skal czasowo-przestrzennych, że dla poszczególnych jednostek jest ona wręcz niedostrzegalna. Można się na koniec zapytać, czy cywilizacja zachodnia już tej walki nie przegrała? Odpowiedź jest trudna i złożona, gdyż zależy od odpowiedzi na podstawowe pytanie, czym jest w rzeczywistości fenomen współczesnej technologii i nauki. Przy pominięciu tej kwestii odpowiedź na zadane pytanie musi brzmieć następująco: cywilizacja

zachodnia przegrywa i to na całej linii. Wszystkie jej idee zostały odrzucone lub złożone na ołtarzu maksymalizacji osobistego komfortu jednostek. Na Zachodzie w średniowiecznych, gotyckich katedrach widać już tylko błyski fleszy i słychać kroki turystów. Wielki wymalowany skansen, jakim coraz bardziej staje się Europa, przyciąga ich ze wszystkich stron świata. Błyszczące czystością formy starego kontynentu mają ukryć zasadniczy fakt, że poza nimi już nie ma żadnych żywych treści. Że ten świat jest jedynie powidokiem martwej przeszłości. Można wyrazić ten stan społeczeństw Europy słowami poety Konstantinosa Kafawisa – Rzym czeka na barbarzyńców. Być może niepotrzebnie, gdyż oni są, tylko że my tego faktu nie możemy już sobie uświadomić.



Rys. Jan Przelomiec





Paulina Andrzejewski – ur. 23.06.1981 r. w Białymstoku, rodzinie związana z Warmią i Mazurami, od szóstego roku życia mieszkająca za granicą, aktualnie pracuje w Olsztynie jako menedżer kultury w mniejszości niemieckiej na Warmii i Mazurach. Zafascynowana urodą świata i jego wielokulturowością w obiektywie próbuje zatrzymać obrazy, które ją urzekły.

Pierwsze zdjęcie powstało w północnym Peru w regionie, gdzie Andy zderzają się z wegetacją dżungli. Drugie zdjęcie zostało zrobione w Turcji – jest świadkiem kolorowego i wielostronnego świata.

